Nr. 20 (1116). Warszawa, dnia 4 (17) Maja 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i piątki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

EXPOSÉ.

Kolej ugaszczania delegacyj obu połów monarchii austryacko-węgierskiej przypadła w tym roku na Peszt. D. 7 b. m. powitali cesarza w zamku obaj prezesi, a cesarz na przemówienia ich odpowiedział krótką mową, zamkniętą w obrębie polityki zagranicznej, oraz potrzeb wspólnej armii i wspólnego budżetu. Bezzwłocznie rozpoczęły się posiedzenia delegacyjne. P. Gołuchowski ze swojem zwyczajowem *exposé* wystąpił tego roku naprzód w delegacyi austryackiej. Mowa cesarska była czysto obrzędową: zapewniła o przyjaźni, o dobrych stosunkach, o niezmienionem położeniu, zapowiedziała nowe armaty, ale rzeczywiście o polityce, o interesach politycznych Austryi i odpowiadających im stosunkach nie powiedziała nic; wonne kwiaty najwyższego ugrzecznienia, tej cnoty królów, nie mogły zaspokoić apetytu delegatów: wytężyli też uszy na mowę ministra. I minister nie dał tego, czego może gorętsi, mniej doświadczenia niż pragnień mający, oczekiwali; ale pozwolił powziąć wyobrażenie o metodzie, jakiej trzyma się Austrya, gdy omija niebezpieczeństwa w puszczy międzynarodowej ziejące, gdy zabezpiecza sobie zdobycze bądź już pozyskane, bądź dopiero upragnione. Kiedy cesarz nie wspomniał wcale o trójprzymierzu, minister nie taił dotyczących go faktów, przynajmniej zewnętrznych, a nawet i w głąb samego stosunku, choć dorywczo, sięgnął, gdy go delegacya do zwierzeń wyzwała.

W najważniejszej tej sprawie, którą publicystyka i dziennikarstwo, w Austro-Węgrzech przedewszystkiem, rozstrzygały już w sposób przeczący zawiązaniu stosunku przymierzowego na przyszłość, p. Gołuchowski dał delegacyi następujące wyjaśnienia: Przymierze potrojne obowiązuje jeszcze do maja 1903 r. Teraz już zgodzono się zasadniczo na przedłużenie go bez zasadniczych zmian; akt odpowiedni będzie zawczasu podpisany. Przeznaczeniem tego aktu jest utrzymywanie pokoju powszechnego, a pewność takiemu przeznaczeniu nadaje ta okoliczność, że właśnie dwuprzymierze, dążące również do pokoju, jest cennem trójprzymierza uzupełnieniem. Oba wytwory międzynarodowe dążą nietylko do utrzymania *status quo*, ale i do zapobiegania szkodliwym wpływom wypadków, któreby pokój zakłócić mogły. Niezależnie od obu tych zespoleń stoi zbliżenie się Włoch do Francyi, stoi też porozumienie się Austro-Węgier z Rosyą, mające już 5-letnią przeszłość. O pierwsze minister tylko potrącił, o drugiem mówił obszernie, jak na ministra spraw zagranicznych dość wiarogodnie, nawet szczerze. Układ z r. 1897 usunął dawniejszą podejrzliwość. Była ona wzajemną i mąciła stosunki. Obecnie żadne mocarstwo nie ma już celów samolubnych, żadne nie sięga po za zdobycze terytoryalne. Zapanowały usposobienia przyjazne. Bywają wprawdzie i teraz nieporozumienia, ale tylko chwilowe; sam czas będzie utrwalał porozumienie zasadnicze.

Porozumienie to polega na utrzymaniu stanu obecnego na przyszłość jak najdalszą. Są na półwyspie żywioły, które chcą „łowić w mętnej wodzie,“ ale nie wzruszą one zgody, oba mocarstwa zespalającej. Co więcej, ta zgoda przeszkadza im „w wykonywaniu rzemiosła.“ Potrzebna tu jest stanowczość, ale przezorna, nie wywołująca naciskiem nadmiernym powrotu do dawnej polityki wpływów na Bałkanach. Raz ustalona równowaga daje tę rękojmię pokoju. Żadne mocarstwo niczego samo nie przedsieweźmie i niczego przedsiewziąć nikomu nie pozwoli, coby ją zaburzyć mogło.

Samo trójprzymierze ukrywa treść swoją, sumę praw obowiązków, przypadających na dział każdego ze sprzymierzonych — przed wzrokiem publicznym. Tak postanowiły wszystkie trzy rządy do umowy wpływające i tak być musi. Czy przymierze to jest „nierozerwalnem,“ jak w toaście swoim niedawnym rzekł hr. Eulenburg, poseł niemiecki w Wiedniu? Zaiste, nie. Ambasador wyrażał tylko osobiste swe pragnienie, nie wyłuszczał istoty stosunku. Nierozerwalnem przymierze nie jest, ale pragnąć potrzeba, aby rozerwanem nie było. Zarzuty z polityki handlowej Niemiec, przeciwko przymierzu wytaczane, nie zdołają racyi jego osłabić: traktatów handlowych nie wolno jest uważać za konieczne uzupełnienia politycznych, chociaż prawdą jest, że z przymierzem politycznem niepodobna pogodzić wojny handlowej. Monarchia

przecież uniknie obecnie takiej wojny, jeśli tylko Węgry zawrą ugodę ekonomiczną z Austryą.

Dwie mowy, dwa zaprzeczenia i opory, rzeczywiście polityczne wyszły z łona delegacyi: pp. Kramarza i Kozłowskiego. Pierwszy jest przeciwnikiem, drugi zwolennikiem trójprzymierza; ale gdy pierwszy ulega nakazowi zasady, którą wyznaje, drugi poddaje się konieczności faktów, z którymi się liczy. Ta konieczność dla Austryi jest tak nieprzeparta, że i Kramarzowa niechęć żadnych, ująć się dających w pewne ścisłe kształty, nie postawiła żądań. Wychodząc z jednego tak zwanego przymierza trzebaby koniecznie wejść w drugie - a tego drugiego niema. Poważnie politycznem jest twierdzenie Kramarza, że dla Austryi szczere porozumienie się z Rosyą ma wagę najpewniejszej rękojmi pokoju. Można nawet i trzeba dodać, że jeśli chodzi o pokój, to całe trójprzymierze, bez powyższego porozumienia się nie byłoby jako instrument pokoju nic warte: mogłoby tylko być podstawą wspólnej, obronnej wojny. W głosie p. Kozłowskiego znajdujemy naturalną reakcyę, samorzutny, przez logikę i przez charakter — najważniejszą w polityce siłę indywiduów w niej działających— wygłoszony manifest przeciwko bezprawiom pruskim. Dopominało się takiego objawu i podmiotowe serce i przedmiotowa prawda; ale rozum polityczny, pozwoliwszy na zaniesienie manifestu do grodu historyi, nie zaniedbał powrócić do obowiązku, jaki ma względem samego siebie: stałe porozumienie się z Niemcami, niezrywanie z nimi od lat dwudziestu kilku już utrzymywanego stosunku, nieodosabnianie się od jedynego, szczerego czy nieszczerego, ale razem przez ową puszczę międzynarodową wędrować gotowego sąsiada— który niezawodnie z formalnego przyjaciela stałby się odrazu najrzeczywistszym wrogiem - - jest dla Austryi koniecznością, która ją wężowymi splotami swymi opasuje. Dotknąć takiej dłoni, jak pruska — to cierpienie, ale życie nie jest od rozkoszy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wybory niedzielne we Francyi w przeszło 170 okręgach dały przewidywaną większość stronnictwu rządowemu, ale przytem wzmocniły i nacyonalizm. Utrzymanie się ministra Millerande w Paryżu, a przeprowadzenie Brissona w Marsylii przejmują uczuciem tryumfu. Po zebraniu 587 okręgów w jedną sumę, okazują się następujące siły: „zachowawców“ tj. monarchistów nie tonących w nacyonaliźmie 50, nacyonalistów 59, „republikanów“ przeciw-rządowych tj. prawośrodkowców typu 1850 roku, którzy poprą odrazu króla lub cezara 99 — razem, nieprzyjaciół rzeczypospolitej 208; wyznawców jej zarazem zwolenników rządu i obrońców: 111 republikanów „postępowych,“ 129 „radykalnych“ i „radykalnych socyalistycznych“ 90—razem 330. Po za tymi obu obozami stoi 43 socyalistów *quand-même*, ale nie wrogich zasadniczo rządowi i zajmowaniu stanowisk w rządzie: 6 nieprzejednanych stronników Guesde'a. Cztery okręgi, które nie weszły jeszcze w obliczenie stosunku, sił nie zmienią.

Układy z Boerami znowu się odwlokły. Delarey, Schalk Burger i Łukasz Meyer najgorliwiej występują za pokojem. Około trzydziestu komend-obozów boerskich oświadczyło się w tym duchu. Wystarczyłoby to, gdyby wystarczały same warunki, narzucane przez Anglię. W tej właśnie niedostateczności tkwi przyczyna zwłoki o wiele prawdopodobniejsza od wrzekomej trudności porozumienia się z oddziałami w północno-zachodniej stronie Transwalu. Na bieg powolny wpływać może i świeża otucha w Boerach z powodu powodzeń Smutsa w krainie Namaqua (mniejszej), na północo-zachód kraju Przylądkowego, jakkolwiek wyprawa tamtejsza jest tylko wyskokiem zuchwałym, mającym jakąkolwiek ciągłość. W każdym razie zdaje się, że król Edward nie będzie miał na swą kornacyę (d. 26 czerwca), tak upragnionego pokoju.

Warunki prawdopodobne ze strony Boerów: samorząd, zupełna amnestya dla kraju Przylądkowego, powołanie trzech Boerów do rady kolonialnej południowo-afrykańskiej, 10 mil. f. st. na odbudowanie zburzonych przez Anglię osad, zniesienie konfiskaty majątków i uwolnienie wszystkich jeńców wojennych.

Potyczki ciągle trwają. Boerom udaje się wysadzać dynamitem blokhauzy (baszty polowe) Anglików.

Prezydentura i kongres w St. Zjedn. Ameryki Półn. otrzymały ok. 10,000 petycyj o ujęcie się za Boerami.

Od d. 6 b. m. Izba Gmin ma nowy regulamin, biorący rumaki krasomówstwa na wędzidło.

Budżet austro-węgierski na rok 1902—3 wykazuje wydatków 372,437,836 koron; z tego na wojsko 307,226,000, na marynarkę 49,184,000 koron.

Węgrzy ogłaszają dowody podburzania Sasów w Siedmiogrodzie; ruch wychodzi z Niemiec cesarskich i spełnia się pod wezwaniem szkoły i kościoła ewangielickiego.

W Portugalii ruch rewolucyjny. W tradycyjnem Oporto cały garnizon wymówił posłuszeństwo królowi. Biedny kraj przez nieuczciwość wpada w bankructwo, z którego wydobywa je usłużny kapitał angielski.

Cesarz Wilhelm ma podobno zamiar najstarszego syna swego, studenta z Bonn, osadzić na namiestnictwie w Strassburgu. Domniemanie to popiera okoliczność, że obecnie po odwiedzeniu Alzacyi i Lotaryngii upoważnił kanclerza i namiestnika do zniesienia t. zw. *paragrafu dyktatorskiego* w prawie, które urządziło kraj ten jako Reichsland. Odtąd swobody obywateli niemieckich będą dostępne i dla Alzatczyków—przy policyi pruskiej niewielka obrada.

W Sofii od d. 6 b. m. zasiada zgromadzenie. Cankow prezesem, Ks. Ferdynand, wybierający się do Petersburga, gorąco przemówił o Rosyi.

Stan królowej Wilhelminy nieco się poprawił; niebezpieczeństwo doraźne minęło.

D. 5 b. m. Izba prawodawcza Kuby zebrała się po raz pierwszy na obrady.

Na San Domingo prezydent strącony.

W Peczyli od trzech tygodni powstanie. Telegramy chińskie twierdzą, że je generałowie chińscy rozbili. Na południu powstanie się wzmaga.

TOMASZ KRAG.

Głosy morza.

Na morzu burza nadciąga zwykle niespodzianie... To też nierzadko zaskoczy rybaka na pełnej wodzie. Nagle zjawiają się chmury na czystem dotąd niebie i suną chyżo. A hen daleko, na widnokręgu, czyhają inne, jak noc czarne. Morze, przed chwilą spokojne, burzyć się zaczyna, podrzucając łodzią, a lina kotwiczna wypręża się czasem jak struna.

Wtedy przezorny człowiek ściąga szybko linę, podnosi kotwicę i wiosłuje ze wszystkich sił, płynąc w stronę lądu. Często jednak bywa już za późno: burza szaleje, chmury opuszczają się nizko, wicher dmie przeciągłym podmuchem, fale piętrzą się i mruczą gniewnie, a wystraszona, maleńka łódź chronić się musi gdziekolwiek.

Niekiedy jednak pozostaje na morzu, chociaż rybak poszedł na dno lub zawisnął wśród skrętów trawy morskiej. Pewnej cichej nocy wypłynie czasem na powierzchnię łódź pusta, lecz nikt nie wie, gdzie szukać trupa. Wszak morze jest wielkie...

Nieprędko jednak zapomną o zaginionym: długo śpiewają po nim pieśni żałobne, a jeżeli posiadają jego portret, umieszczają pod nim krzyż, niekiedy i napis z Pisma św., jak np.: „A gdybym posiadał skrzydła jutrzenki i popłynął w najdalszą dal morską, znalazłbym i tam ciebie, o Panie...“

Niebezpiecznie jest być samym na morzu, unikają też samotności rybacy. Najczęściej zbiera się ich gromadka, z dziesięciu lub dwudziestu osób złożona, i ustawia się tak, że mogą słyszeć nawoływania wzajemne. W gromadce takiej znajdzie się łatwiej ten lub ów, obdarzony reumatyzmem lub „zsiadłą kroplą krwi,“ który wcześniej przeczuje nadciągającą burzę.

„W pewnej miejscowości — opowiadał mi Tomasz Kingo — żył drobny, słabowity człowiek, który miał aż trzy takie krople w sobie i był przez to nawet kaleką. Brali go też z sobą rybacy, ilekroć puszczali się na pełne morze. Dawszy mu placka i nieco wódki, kładli go na samym przodzie, aby nie zawadzał; i tak wylegiwał się całymi dniami. A gdy się zbliżała burza, chociaż jeszcze dla nikogo widoczną nie była, zapowiadał ją kaleka krzykiem, gdyż czuł ból we krwi. Wówczas z łodzi do łodzi biegły nawoływania: „Przybijać! przybijać!“ — I w chwilę potem wszystkie łodzie stały już u brzegu długich wysepek, gdzie chronili się rybacy, aby przeczekać burzę.“

Często razem z rybakami wyprawiałem się i ja na morze. Jeden ze starszych, najlepszy mój przyjaciel, nauczył mnie dobrego sposobu zarzucania wędki. Siadywałem więc w łodzi, zapatrzony w sznur spuszczający się na dno, i rozpoznawałem natychmiast szarpnięcie zahaczającej się ryby. Gdy burza się zrywała, zwijałem sznur, chwytałem wiosło pełen dumy ze zbliżającego się niebezpieczeństwa, spieszyłem wraz z innymi do brzegu, a tymczasem rozpaczliwy krzyk mewy rozlegał się po szaro-ołowianem morzu. Wspólnemi siłami dobijaliśmy do Albatrosa, długiej, wązkiej wysepki, która z lądu wydaje się podobną do ptaka tej nazwy.

Pewnej nocy zawinęliśmy tu, gnani burzą, idącą z południa. Zmuszeni przybić do lądu nieco dalej na zachód, niż zwykle, musieliśmy brnąć przez trzęsawisko, aby się dostać do starej szopy. Znaleźliśmy się w niej wreszcie. Strudzeni, pozdejmowaliśmy buty i zabieraliśmy się do spoczynku. Stary, siwy rybak z Mandalu, krzątał się koło komina: nałożył grubych, ciężkich polan, i wkrótce buchnął płomień, dziwnie czerwony i wielki.

Gdy tak siedzieliśmy wygodnie, a na dworze tymczasem srożyła się burza i mrok zapanował czarny, nagle doszedł nas krzyk, a znać było po brzmieniu, że krzyk to był pełen boleści, jakby strachem wywołany i bólem. Słuchaliśmy z zapartym oddechem, z dziwną pewnością, że coś jeszcze nastąpi. Zdawało nam się, jak gdyby istota, która ten krzyk wywołała, miała coś jeszcze do powiedzenia. Był to bowiem krzyk boleści, ale nie boleści ostatniej. Nasłuchiwaliśmy w milczeniu... ale sekundy upływały i nic się więcej nie odezwało. A jednak wkrótce potem usłyszałem jakby delikatny świst, a po chwili znów jakby pukanie w ściany. Odgłos ten nie zdawał się

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Przedmiotem wzbudzającym największe zajęcie w prasie rosyjskiej jest obecnie jednoczesne prawie mianowanie dwóch ministrów: kierownictwo ministeryum spraw wewnętrznych objął p. W. von Plewe, zarządzającym ministeryum oświaty, po ustąpieniu gen.-adj. Wannowskiego, został dotychczasowy vice-minister, p. Zenger.

Kreśląc w krótkości przebieg dotychczasowej służby państwowej nowego ministra, *Nowoje Wremia* dodaje w końcu: „Wreszcie późniejsza działalność W. K. von Plewego na stanowisku sekretarza państwa, a potem ministra sekretarza stanu do spraw W. Ks. Finlandzkiego nie mogła pozostać bez korzyści dla teraźniejszego ministra spraw wewnętrznych. W jego oczach toczyła się w ciągu lat 8 cała państwowa praca ustawodawcza jemu przypadło w udziale powstrzymać silny napór finlandzkiego ruchu separatystycznego, z którym zawsze walczył środkami kulturalnymi, według możności w granicach postępowania lojalnego i wolnego od zarzutów, ale nie zbaczając na krok od zasad kierowniczych, któremi się rządził, jako mąż stanu, i które umiał urzeczywistnić cierpliwie, bez pośpiechu, ale ze stałością i bez wahań.“ Z powodu mianowania K. W. von Plewego, *Rižskij Wiestnik* przypomina również wypowiedziany jeszcze w r. 1898 pogląd, obecnego ministra spraw wewnętrznych, naówczas przewodniczącego osobnej komisyi, zwołanej celem opracowania zasad zarządu miejscowego w kraju nadbałtyckim. Między innemi p. von Plewe wyrzekł wówczas: „Droga reformy jest już wytknięta przez rząd, i zapewne niestosownie byłoby z niej zbaczać, cofać się i budować organizacyę zarządu ziemsko-gospodarczego w jakiejkolwiek zasadzie przedstawicielskiej, z prawami samorządu. Byłoby to równoznacznem z pozostawieniem sprawy w tych rękach, które skłoniły rząd do przekonania o konieczności reformy. Nie dość na tem: gdyby nawet rząd cofnął uczynione już w tym kierunku kroki i powziął zamiar wprowadzenia do gubernij nadbałtyckich jakiegokolwiek miejscowego samorządu ziemskiego, nie dałoby się to faktycznie urzeczywistnić, brak tam bowiem ku temu niezbędnych żywiołów.“

Zupełnie inaczej rzecz się ma z wyniesieniem p. G. Zengera na stanowisko zarządzającego ministeryum oświaty. Tam nie było niespodzianki, lecz miało się do czynienia ze skrystalizowanym programem działania, stwierdzonym niejednokrotnie słowem i czynem, tu stoi się niejako wobec znaku zapytania. O reformie szkół tyle się już pisało i mówiło, tyle się wypowiadało pobożnych żądań; zamierzenia ministeryum pod kierunkiem gen.-adj. Wannowskiego były tak doniosłe i daleko idące, iż mianowanie p. Zengera zrozumiano, jako nawrót ku klasycyzmowi. Nie ulega wątpliwości, iż nagła i stanowcza reorganizacya szkolnictwa, jaką zdawały się zapowiadać sposobem próby wprowadzone zmiany w szkole średniej, została stanowczo odrzucona. Prasa miejscowa podkreśla to bardzo wyraźnie. „Ogłoszona pierwsza mowa programowa nowego ministra oświaty, G. E. Zengera—mówią *Birżewyje Wiedomosti*—potwierdza krążące wieści, iż projekt reformy szkół średnich, opracowany przez gen.-ad. S. S. Wannowskiego na podstawie rozkazu Najwyższego z d. 25 marca r. z. został zaniechany. Obecnie sprawa reorganizacyi szkolnictwa powstaje nanowo i ogłasza się za nierozstrzygniętą.“ Ostrożniejsze w swoich sądach *Nowoje Wremia* nie idzie tak daleko i oświadcza, iż żadnego nawrotu ku formom przeżytym w mowie nowego ministra nie widać: „W mowie zarządzającego ministeryum—pisze wzmiankowany organ — nie mówi się wcale o tem, że rozpoczęta reforma zatrzyma się na brzegu; a jeżeli pójdzie ona równiej i spokojniej, niż w ciągu trzech lat ostatnich, to będzie za to trwalsza i lepiej opracowana.“

Z pośród rozmaitych zdań, wypowiedzianych z powodu nominacyi G. E. Zengera i jego mowy, wyłaniają się dwa wnioski, których słuszność nie ulega chyba wątpliwości: 1) że na taką stanowczą reformę, jaka przed rokiem zdawała się być bliską urzeczywistnienia, zapewne poczekamy jeszcze dosyć długo i 2) że klasycyzm, jeśli zostanie utrzymany w szkołach średnich, nie będzie jednak skierowany w duchu Tołstojowskim, będzie to niewątpliwie klasycyzm dla samego klasycyzmu, nie zaś dla celów postronnych. I doprawdy trudno odmówić słuszność temu, co mówi w jednym z ostatnich numerów gazeta *Wołyń*: „A wreszcie czyż wszystko polega na klasycyzmie? Zapewne, że nie. Wszak nie jest ona tak straszna. Strasznem jest to, do jakiego użytku używali jej ludzie...“

Tutejsza opinia publiczna przez długi czas żywo zajmowała się przedmową, którą L. Tołstoj opatrzył przekład rosyjski romansu Potenza pt. „Chłop.“ Głos znakomitego autora „Zmartwychwstania“ o współczesnej literaturze i krytyce jest ze wszechmiar godzien uwagi. Zaznaczywszy upadek smaku estetycznego wśród tutejszej publiczności, Tołstoj dodaje, iż jednocześnie dawni mistrzowie idą w zapomnienie. W naszych czasach nieuctwo tłumu oświeconego doszło już do tego, iż wszystkich prawdziwych wielkich myślicieli, poetów i prozaików starożytności i XIX wieku uważa się za zacofanych, nie zadawalających już wyższych i subtelnych potrzeb duchowych ludzi nowożytnych; na nich wszystkich patrzy się z pogardą lub z uśmiechem politowania. Za ostatni wyraz filozofii współczesnej uważa się rozpustną, trywialną, napuszoną, pozbawioną łączności gadaninę Nietzschego; bezsensowny, sztuczny dobór wyrazów, które łączy tylko rytm i rym w przeróżnych wierszach dekadenckich, uważa się za poezyę wyższego rzędu; we wszystkich teatrach wystawiane bywają sztuki, których sens nieznany jest nikomu, nawet samemu autorowi, i w milionach egzemplarzy drukuje się i rozpowszechnia romanse pod pozorem dzieł sztuki, którym brak i treści i artyzmu; za najdzielniejszy środek zwalczania takich surogatów literatury sędziwy pisarz uważa rozumną, przedmiotową i uczciwą krytykę, któraby pouczała czytelników, co wśród

---

być ani wyciem burzy ani szelestem kamienia, strąconego przez wichry, lecz było to pukanie żywego człowieka. Nawet Nissen Graa, stary wyga, zerwał się i powtórzył kilkakrotnie: „Co to był za krzyk? Co to było?“ A gdy nikt nie odpowiedział, podszedł ku drzwiom i otworzył je. Poszedłem za nim boso, trzymając się go mocno, wyjrzałem i ja, — ale nie dojrzeliśmy nic żywego, tylko noc rozpostarła swoje straszne, ponure skrzydła, a w ciemności zaznaczała się wyraźnie wielka odległość między niebem a morzem. Nizko zaś, na zachodzie, stał czerwony księżyc, uwydatniając potęgę nocy i jej tajemniczość, lecz nie rozjaśniając jej wcale. A wtem krajobraz cały nabrał życia, wydał mi się jakąś nadprzyrodzoną istotą i ta pusta okolica z burzą i księżycem zamieniła się w mych oczach w jakieś oblicze posępne, krwawe, jakby skurczone w bezmiernym bólu...

Ale nietylko jesienią dochodzą od morza dziwne głosy. Gdy znajdziesz się na samotnej wysepce nawet w noc letnią, piękną i cichą, strojną w purpurowe blaski zorzy północnej, zda ci się, że słyszysz śpiew i zagadkowe jakieś dźwięki. Może to orkiestra niezliczonych fal, uderzających o wybrzeże, bo jeżeli się zbliżysz, aby lepiej słyszeć, urywa się śpiew, i słychać tylko pojedyncze fale, rozbijające się o skałę. Ale tutejsi mieszkańcy nie chcą tych dźwięków przypisywać falom; urabiają sobie o nich własne pojęcie, pod natchnieniem nocy letniej i słodkiej ciszy, która panuje dokoła. A pieśń pod tym wpływem nie jest dzika, jak noc jesienna, lecz jasna i piękna, jak sen świętojańskiej nocy nad błękitnem morzem. Bo nietylko zielona łąka, nietylko przejrzysty strumyk, nad którym pochyla się srebrna wierzba, mają swą piękność i woń. Gdy purpura zachodzącego słońca lub blady odblask letniej nocy zapadł w morze, gdy fale uderzają o ląd, ciemniejący w mgle nocnej, oko nasze ma się również czem zachwycać...

W takich chwilach zjawiają się na nędznem kamienistem wybrzeżu piękne, młode kobiety i wpatrują się w morze zastygłem spojrzeniem, jakby z żalu za czemś utraconem, czego nie mogą odzyskać...

Tak przybyła pewnego razu córka hrabiego z dalekiej krainy. Straciła ona kochanka, którego posiadała jeden dzień tylko, jeden jedyny... zachorował nagle i umarł. Nigdy przedtem nie widziała morza i zdziwiła się, ujrzawszy je w chwili, gdy tonęło w złocie południowego słońca. „Jesteś tak czyste, jak dzień ów, kiedy posiadałam ukochanego — rzekła — ach, zwróć mi dzień ten, jeżeliś go zabrało.“ Lecz morze nie dawało odpowiedzi, szeptało tylko zwykłe swoje słowa, dla niewielu zrozumiałe. Młoda dziewczyna uniosła nieco swej białej, jedwabnej szaty i usiadła nad brzegiem, wsłuchując się i wpatrując długo. „Nie rozumiem cię, a jednak pozostanę przy tobie, bo jak ty jesteś nieskończone, tak nieskończonym jest smutek mój i tęsknota.“

Kazała sobie zbudować chatkę nad brzegiem morza i znalazła ukojenie, patrząc na fale, jak powstają i rozbijają się wieczyście. I mieszkała nad morzem długie lata, aż młode jej ciało pochyliło się, długie, miękie włosy posiwiały, a oko utraciło blask dawny. Białą, jedwabną szatę zastąpiła odzieniem z lnu, do ręki wzięła kij, aby się podpierać. Wpatrywała się często w zachodzące słońce, a skoro dni mijały i upływały lata, nauczyła się je rozumieć. Niegdyś, przed laty, znała inne słońce, lepsze, które wstawało rankiem i budziło wszystko do życia, lecz teraz raził jej oczy ten jasny blask i lubiła patrzeć na słońce wtedy tylko, kiedy zachodzi i gaśnie.

Pewnego dnia kilku rybaków ujrzało starą niewiastę siedzącą w bieli nad brzegiem. Gdy podeszli bliżej, poznali, że była martwa. Więc pochowali ją, a nikt jej nad grobem nie zaśpiewał psalmu, nie zagrał na flecie lub na harmonice. Tylko fale śpiewały żałośnie osamotnionej dziewczynie, spoczywającej na wybrzeżu.

Tę pieśń słychać w ciche noce letnie, a przy dźwiękach jej dziewczęta szukają szkarłatnego, purpurowego kwiatu, zakwitającego w rozpadlinach skał, kwiatu, którego jasne listki miękie są jak aksamit i mają woń mięty. Jest to właśnie kwiat białej dziewicy.

Z norweskiego przełożyła

Józefa Klemensiewiczowa.

mnóstwa zadrukowanej bibuły czytać warto, co zaś należy bezwzględnie odrzucić.

Jeden z poważniejszych miesięczników tutejszych, *Wiestnik Jewropy*, aż na dwu miejscach ostatniego (kwietniowego) zeszytu wystąpił z rzeczowymi zarzutami przeciw dogmatycznym twierdzeniom autora „Wojny i pokoju.“ Jeden zwłaszcza z tych zarzutów najbardziej nam trafia do przekonania: słusznie mianowicie utrzymuje organ p. Stasiulewicza, iż o ile dyagnoza Tołstoja jest doskonała, o tyle terapia zupełnie niewłaściwa: dekadentyzm jest zjawiskiem samorzutnem, nie wyskoczył z głowy Jowisza, i krytyka nic na niego nie poradzi. Jest on wreszcie, sądzimy, jakąś fazą przejściową w rozwoju literatury, i przyjdzie czas, kiedy — bez współudziału czynników zewnętrznych będzie należał do przeszłości.

Na porządku dziennym stoi obecnie sprawa zmiany ustawodawstwa karnego; przewidywany jest cały szereg reform w duchu humanitarnym. Z tego powodu *Ruskaja Myśl* w zeszycie kwietniowym dopomina się o pomieszczenie w liczbie projektów t. zw. prawa Berangera, wprowadzonego we Francyi w r. 1888, w Belgii już w roku 1891, które polega na „skazaniu warunkowem“: jeśli podsądny po raz pierwszy podlega karze więzienia, sąd ma prawo odroczyć wykonanie wyroku; jeśli winowajca w ciągu lat pięciu ani razu nie stanie przed kratkami, wyrok się znosi. Prawo to, przyjęte w wielu państwach Europy zachodniej, przyczyni się w znacznej mierze do ulżenia doli tym licznym rzeszom wydziedziczonych, którzy mieli nieszczęście przełamać jeden z paragrafów ustawy karnej.

Za to prawo o zniesieniu lub ograniczeniu deportacyi weszło już na dobrą drogę. Znalazły się nawet pieniądze na budowę w całem państwie osobnych pomieszczeń paprawczych dla aresztantów, które mają zastąpić deportacyę; w nowych tych instytucyach mają być stosowane wszystkie najnowsze udoskonalenia techniczne, w niektórych nawet miastach budują się osobne pomieszczenia dla osób, należących do klas uprzywilejowanych. Wobec tych wszystkich nowości słusznie *Wostocznoje Obozrenje* upomina się o poprawę losu dawnych osiedleńców na Syberyi, o których nowe prawo zapomniało zupełnie; czy nie byłoby rzeczą słuszną i sprawiedliwą, aby dać im możność zamiany kary wiecznego osiedlenia na ograniczone jakiemś terminem zamknięcie w więzieniu, z prawem powrotu na miejsce urodzenia lub przynajmniej do Rosyi europejskiej. Osłodziłoby to los skazanych i jednocześnie uwolniło Syberyę od części niespokojnego żywiołu, utrudniającego dzisiaj prawidłowy rozwój stosunków.

Jednocześnie zamierzona jest reforma ustawy szpitalnej. Powołano w tym celu komisyę z pośród towarzystwa petersburskich lekarzy szpitalnych, składającą się z doktorów medycyny N. Iwanowa, A. Łatuchina i A. Rubela; komisya ta wypracowała projekt nowej ustawy, której główną zasadą ma być usunięcie dotychczasowej zaściankowości administracyjnej, wprowadzenie natomiast jawności, jako podstawy życia szpitalnego; każdy szpital, według nowego projektu, ma stanowić jednostkę samorządną pod kierownictwem ludzi kompetentnych, i dlatego też komisya nie wypracowała żadnej ustawy ogólnej, pozwoliła organom zarządów miejscowych regulować sprawy szpitalne według potrzeb i norm życia miejscowego. Zasada zaś jawności nakazuje nie ukrywać członków zarządów szpitalnych, winnych różnych przestępstw, lecz pociągnąć ich do odpowiedzialności sądowej.

Ogłoszone w *Wiestniku Finansow* sprawozdanie z pięcioletniej działalności Kuratoryów trzeźwości, w okresie czasu od r. 1895 do 1899, wywołuje tu rozliczone uwagi. Na ogół okazuje się, że wyniki nie są zbyt świetne, co z jednej strony tłomaczy się, jak poucza sprawozdanie, tem, iż wybór na członków kuratoryum niezawsze był szczęśliwy, z drugiej zaś — że „nie dowierzano szczerości zamiarów ministeryum finansów.“ W dalszym ciągu sprawozdanie podaje ciekawe cyfry co do stanu majątkowego herbaciarni: te z pomiędzy nich, które dają czysty dochód lub przynajmniej koniec z końcem wiążą, stanowią nader rzadki wyjątek, pomimo iż liczba gości w różnych herbaciarniach dosięgła znacznej wysokości: jedną z nich np. w mieście Ufie odwiedziło w ciągu r. 1899 przeszło 115,000 osób.

Wystawa drobnego przemysłu włościańskiego w Petersburgu, rozdawszy przeszło tysiąc medali złotych, srebrnych i bronzowych, i do tysiąca listów pochwalnych, dobiegła do końca. Wystawie tej przyznano powszechnie wielką doniosłość; rozległy się jednak głosy niezadowolenia, wykazujące, iż organizatorowie wystawy, nie określiwszy z dostateczną jasnością pojęcia drobnego przemysłu włościańskiego, dopuścili do udziału cały szereg osób, które ani z włościaninem, ani ze wsią, ani z drobnym przemysłem nie mają nic wspólnego.

Straszliwy pożar Bobrujska, który obrócił w perzynę połowę miasta i pozbawił chleba i dachu tysiące rodzin, poruszył do żywego opinię publiczną. Zaczęto doszukiwać się przyczyny tej okropnej klęski i znaleziono ją — w bezwładności duchowej miejscowych mieszkańców. Bobryjsk bowiem, chociaż od lat 10 przestał być fortecą, pozostaje do dziś dnia z 99,100 miastem drewnianem.

H. Celiński.

Z Niemiec.

Berlin, w maju.

Zmarł ostatni Mohikanin legitymizmu niemieckiego, Henryk dwudziesty któryś, książę Reuss starszej linii, romantyk, któremu się zdawało, iż mucha może połknąć słonia. Od chwili, kiedy ten władca terytoryum, obejmującego 316 kilometrów kwadr. i zamieszkanego przez 68 tysięcy osób, objął rządy, wyrzekł swe słynne słowa: „Bismarck nic tu nie ma do powiedzenia,“ aż do dnia, kiedy zmarł, pisząc na łożu śmiertelnem do swej *Greizer Landeszeitung* artykuł wstępny p. t. „Siła nie idzie przed prawem,“ walczył on niezmordowanie przeciwko Prusom i ich przewadze w Rzeszy niemieckiej, której nie chciał uznać jako „faktu dokonanego.“ Nie zrażały go niepowodzenia, nie powstrzymywały beznadziejność i śmieszność walki staczanej, ani nawet osamotnienie, które musiało rosnąć w miarę tego, jak bojownicy partykularyzmu jeden za drugim składali oręż i godzili się z nowym stanem rzeczy.

Gdy w r. 1870 posłowie sejmu północnoniemieckiego podążyli do Wersalu, aby ofiarować Wilhelmowi I „koronę“ cesarza niemieckiego, władca Prus oznajmił, iż po podbojach politycznych, dokonanych przez to państwo, nastąpią teraz niebawem zabory „moralne.“ Obietnica ta była tem bardziej na miejscu, iż Rzesza upojona krwią francuską, roiła się od zwolenników partykularyzmu i separatyzmu politycznego. Szlezwig-Holsztyn, Hannower, Hessen-Nassau i Alzacya-Lotaryngia leżały we krwi, powalone na ziemię maczugą Bismarcka. Bruńświk opłakiwał w osobie króla hanowerskiego ostatniego przedstawiciela dynastyi Welfów. Bawarya niechętnie przyłączyła się do niemieckiej federacyi państw, zastrzegając sobie z góry „prawo rezerwatowe.“ Księstewko gotajskie, które marzyło niegdyś o wybitnej roli w Niemczech, i Weimar, dumny ze swej tradycyi literacko-artystycznej, z pewnym niesmakiem przystały na hegemonię „barbarzyńców północnych.“ Co gorsza, w samych Prusiech powstało wkrótce potężne stronnictwo, głoszące otwarcie idee separatystyczne. Centrum katolickie przedstawiało wówczas Ślązaków, Welfów hanowerskich, Nassauczyków, obywateli Nadrenii, tytułujących się „Prusakami z przymusu“ (Musspreussen), Alzatczyków i Bawarczyków. Wspomniane wyżej lilipucie księstewko Reuss starszej linii było wówczas jednym z wielu dysonansów w chórze jedności niemieckiej. W tak zwanej Radzie związkowej głosowało ono stale i ostentacyjnie przeciwko Prusom. Niezależnie od treści i uchwały, skądinąd patryotycznej lub pożytecznej, Reuss wołał ciągle *liberum veto*, a ponieważ był za biedny, aby utrzymywać własnego pełnomocnika do Rady związkowej, wyręczało go w protekcie którekolwiek z państw o dążeniach separatystycznych.

Minęły lata i państwa niemieckie zaczęły coraz niechętniej podejmować się tego zlecenia. Szeregi partykularzystów przerzedziły się. Dwór szlezwig-holsztyński przeniósł się do Berlina. W Hannowerze pozostała tylko drobna garstka magnatów, wysyłająca rok rocznie depesze wiernopoddańcze do księcia Kumberlandzkiego. Giełdziarze frankfurccy wzbogacili się dzięki „organicznemu wcieleniu“ do Prus. Bruńświk otrzymał „tymczasowego“ regenta w osobie pruskiego księcia Albrechta. Waldeck-Pirmont oświadczył wyraźnie, iż za „Bismarcka niedobrze być księciem Rzeszy“ i odstąpił na zawsze swój głos w Radzie związkowej Prusom. Centrum zaś, opanowawszy polski Śląsk, francuską Alzacyę i prusakożerczą Bawaryę, zaczęło paktować z rządem niemieckim i stało się jego serdecznym, najserdeczniejszym przyjacielem. Książę Henryk dwudziesty któryś pozostał sam. Wydelegował tedy własnym kosztem pełnomocnika do Rady związkowej i stale demonstrował przeciwko wszelkim projektom pruskim. Głosował zarówno przeciw ustawom wojskowym, jak i wszelkim środkom, skierowanym przeciwko ruchowi społecznemu. Nie dość tego, zaczął szerzyć ideę powrotnego wcielenia Austryi do związku państw niemieckich. Dał nawet do zrozumienia, iż należałoby odebrać hegemonię Prusom i powierzyć ją Austryi. Zapomniał tylko w swej naiwności, iż Austrya dawno już przestała być niemiecką. Chcąc pierwszy dać przykład sympatyi dla niej, przybrał cały swój orszak dworski w stroje austryackie, a urzędnikom swym przepisał uniformy czarno-żółtej monarchii. Wreszcie w r. 1895 doszło do wielkiego skandalu. Gdy w Berlinie odbywały się wielkie uroczystości dla uczczenia „wielkich“ wypadków z r. 1870, w Greizu nie wywieszono nawet chorągwi ogólno-państwowej, nie rozległ się ani jeden toast, ani jedna mowa. Przeciwnie, panował tam nastrój żałobny. Wtedy to własny kuzyn Henryka XXII, regent księstwa Reuss, linii młodszej, ujął się za pokrzywdzonemi Prusami i wygłosił wielką filipikę przeciwko zdrajcy ojczyzny. Nikt nie odważył się przemówić w obronie kamienowanego, pomimo że wypadki świadczyły wyraźnie, jaki głęboki przewrót o charakterze centralistycznym zachodzi w ustroju politycznym Niemiec. Gdy następnego roku podczas wystawy w Moskwie pewien kupiec niemiecki w mowie powitalnej zaliczył kilku obecnych książąt niemieckich do „orszaku“ pruskiego księcia Henryka, zaledwie arcyksiążę bawarski odważył się zaprotestować przeciwko takiej degradacyi. Inne państwa milczały, pomimo że sprawa obchodziła je bardzo blizko. W dwa lata później Prusy obsadziły bezprawnie tron

księstewka Lippe-Detmoldzkiego swym krewniakiem. Zwołany umyślnie sąd państwowy odrzucił kandydaturę pruską. Rząd pruski jednak nie chciał ustąpić, powołując się na memoryały, wypracowane przez nadwornych heraldyków i prawników pruskich. Wogóle państewka niemieckie poprzestały teraz tylko na pobieraniu z kasy ogólno-państwowej przypadającej im w udziale kwoty, zwłaszcza że reforma finansów Rzeszy wyszła na ich korzyść: ponosiły one ofiary zbyt małe w stosunku do wypłacanej im z ogólnego budżetu sumy. Hercogowie i książęta stali się feodałami, pozbawionymi wpływu na sprawy państwowe. Ale ks. Reuss linii starszej, nie dał za wygraną. Od r. 1895 nie świecił już wcale galówek ogólno-państwowych, nie obchodził święta Sedanu, przyczem poczta cesarska w jego własnem państewku odpłacała mu pięknem za nadobne, pomijając uroczystości urzędowe księstewka. Henryk XXII utworzył sobie gwardyę, którą wystroił w mundury byłego wojska reussowskiego, wszystkie urzędy obsadzał welfami, ułaskawiał z zasady przewrotowców za rozmaite przewinienia i wreszcie założył wspomnianą wyżej *Landeszeitung*, zohydzającą systematycznie wszystko, co pruskie i poświęconą głównie krytyce systemu bismarckowskiego. Przypominała ona nieustannie obywatelom reusskim listę bezeceństw, które popełniał książę żelazny i krwawy w przeciągu swych rządów trzydziestoletnich. Tak to Henryk XXII walczył do ostatniego tchnienia przeciwko Prusom. Zemściły się one na nim okrutnie. Pochowano go bowiem z honorami... pruskiego generała piechoty. Wobec nieuleczalnej choroby jedynego syna nieboszczyka, ostatniego potomka starszej dynastyi Reusskiej, rządy objął ten sam kuzyn, regent Reussu linii młodszej, który w r. 1895 ujął się za pokrzywdzonemi Prusami. W Greizu powstało już również pierwsze stowarzyszenie, mające na celu popieranie floty niemieckiej, t. zw. „Flottenverein."

Doktor prawa Marya Raschke, jedna z najdzielniejszych przewódczyń niemieckiego ruchu kobiecego, redaktorka doskonałego *Czasopisma dla popularnego prawoznawstwa*, wystąpiła publicznie z projektem reformy prawnej instytucyi obyczajowej, nie odpowiadającej nowoczesnemu stanowisku społecznemu kobiety. Idzie tu o tytułowanie kobiety podług stanu cywilnego panną lub panią. Ta klasyfikacya, tak ściśle przestrzegana przez wszystkie klasy społeczne i przeprowadzająca jaskrawą linię demarkacyjną między stanem panieńskim a małżeńskim, między dwoma okresami życia kobiecego, miała racyę bytu, dopóki małżeństwo było wyłącznem przeznaczeniem społecznem niewiasty, jedynym celem jej życia. Terminologia odnośna dzieliła w myśl tego cały ród kobiecy na dwie grupy: na kandydatki do ślubu i te, które już przekroczyły Rubikon. Podział ten umożliwiał ścisłą kontrolę moralną w interesie mężczyzny, strzegących skwapliwie swych przywilejów. Zdaniem p. Raszke tu właśnie, w tem odmiennem traktowaniu obu płci pod względem obyczajowości, ujawniała się wyraźnie owa szlachetna buchalterya podwójna, która w kobiecie, wbrew słynnej maksymie Kanta, upatrywała tylko środek i niewolnicę, gdy mężczyzna był celem i panem. Jako przedmiot jego kaprysów i pretensyj, musiała na podobieństwo Żydów z Gettho lub starożytnych niewolników, znaczonych łatami, nosić stempel tytułu, ułatwiający kontrolę. Czasy jednak zmieniły się do gruntu. Kobieta z warstw średnich i ubogich stoi o własnej sile. Niemcy liczą dziś 5—6 milionów kobiet pracujących, z których co najmniej dwie trzecie stanowię kobiety niezamężne, panny. Kobiety, a przedewszystkiem panny, ponoszą najrozmaitsze ciężary państwowe i społeczne, biorą czynny udział we wszystkich dziedzinach życia. Niema dziś sfery cywilizacyjnej, gdziebyśmy nie napotkali działaczy kobiecych obok mężczyzn. Wystarczy tu przytoczyć tak drobny, a jednak jaskrawy fakt, iż cesarskie Biuro patentowe Niemiec, wydało 500 kobietom patenty na rozmaite wynalazki, dotyczące nietylko tradycyjnych zajęć starodawnej niewiasty jak wychowanie i gospodarstwo domowe, ale nawet takich procederów niekobiecych jak stolarstwo i rymarstwo. Podobnież — wywodzi pani Raszke—jak jest szczytem bezmyślności tytułować kobietę „panią dyrektorową" lub „panią sędziną," jak gdyby nie posiadała innej treści i dostojeństwa po za temi, których użycza jej, niby satelicie swemu, małżonek, tak jest anachronizmem śmiesznym i szkodliwym, dziś, kiedy córa Ewy, na podobieństwo Adama, „pracuje w pocie czoła charakteryzować ją i wyróżniać na zasadzie jej stanu cywilnego. Niemiecki kodeks cywilny, obowiązujący od r. 1900, zbiór ustawodawczy dość ściśle nastrojony na ton potrzeb nowoczesnych, zna tylko jeden termin *Frau* (kobieta), przez który rozumie, jak świadczą np. §§ 1303, 1786 № 1, zarówno pannę, jak mężatkę. Projekt reformy obyczajowej został po raz pierwszy wytknięty przez obrońcę feminizmu, dr. Jastrowa w jego dziele „Das Recht der Frau." Jako sędzia miał on nieraz sposobność widzieć na własne oczy, jak boleśnie daje się ta przestarzała etykieta we znaki matkom dzieci nieślubnych. Uwydatnienie stanu panieńskiego jest tu wodą na młyn złośliwości, obłudy i filisteryi. Jastrow i pani Raszke spodziewają się, iż ze zniesieniem zewnętrzej formy konwencyonalnej pozbędziemy się pewnych objawów beztaktu, tak okrutnych dla niektórych ofiar stosunków życiowych.

W dziedzinie prawa karnego zanosi się na bardzo poważną reformę. Idzie tu nie o materyę prawodawczą lecz o procedurę. Inicyatywa reformy wyszła od niemieckiej grupy krajowej „Międzynarodowego związku kryminalistycznego." Tegoroczny kongres poświęcony był między innemi krytyce współczesnych sposobów dochodzenia śledczego. Referent, prof. Rosenfeld, dowodził, że śledztwo w sprawach karnych w obecnej swej postaci jest pozostałością z czasów panowania inkwizycyi. Przedewszystkiem jest ono wyłącznie i jednostronnie skierowane przeciwko podsądnemu, gdyż nie ma on prawa korzystać ani z jawności ani z ustności procesu, ani wreszcie — co najważniejsza — z pomocy obrońcy. Dochodzenie śledcze jest niepotrzebnie rozdzielone na dwie części, z których pierwsza spoczywa w ręku prokuratora, druga dopiero należy do sędziego. Prof. Rosenfeld i inni prawnicy, jak np. sędzia Kulemann (znany teoretyk społeczny) wykazywali, iż niema zupełnie zasadniczej i logicznej różnicy między obu procedurami. Materyał, nagromadzony przez kryminalistykę współczesną, świadczy, że to współdziałanie dwu czynników sprawiedliwości wychodzi na niekorzyść podsądnego. W większości wypadków sąd jest zmuszony pomimo poszlak obciążających, uniewinniać oskarżonego. Coraz częściej sprawa okazuje się skutkiem ordynarnej denuncyacyi lub przesadnej wrażliwości ludzkiej. A tymczasem podsądny spędzał całe miesiące niewinnie w więzieniu śledczym. Jeśli nie sposób wprowadzić odszkodowania dla niewinnie uwięzionych, to należy co najmniej uprościć i skrócić całe dochodzenie śledcze, znosząc bezmyślny podział na dwie połowy, zabronić raz na zawsze policyi lub żandarmom wiejskim wtrącania się do procedury karnej, zaprowadzić ustność oraz jawność, któraby pozwoliłaby opinii publicznej kontrolować prokuratora lub sędziego śledczego, dać podsądnemu do pomocy obrońcę, który informowałby go o przysługujących mu prawach, gdyż większość oskarżonych nawet nie wie, iż może odmawiać zeznań, i wreszcie — skrócić czas pobytu w więzieniu śledczem do najniższych norm, nakreślonych przez procedurę dochodzenia śledczego. Następny zjazd zajmie się projektem reformy, wypracowanym zgodnie z poglądem powyższym.

H.

KARTEL KARTELI.

III.

Zaledwie ekonomiści (Kleinwachter, Steinmann-Bucher i Schonlanck) roznieśli wieść o powstaniu i istnieniu nowego rodzaju instytucyi, gdy kapitolińskie gęsi manczesteryzmu zagęgały w prasie na cały głos. Koalicye przemysłowców ochrzczono wprost „cechami nowoczesnemi" i zażądano ich zakazu prawnego, węsząc w nich zakapturzony monopol, który będzie dowolnie narzucał publiczności wysokie ceny. Podobne żądanie było oczywiście szczytem naiwności. Zarówno prawodawstwo austryackie, jak francuskie zabraniają surowo koalicyi w celu podnoszenia ceny, a jednak w Austryi już w r. 1897 można było znaleźć syndykaty w 40 gałęziach przemysłu. Od tego czasu kartele rozmnożyły się tam jeszcze. Francya, co prawda, pozostała pod tym względem nieco w tyle. Tłomaczy się to jednak zastojem, który zapanował w przemyśle francuskim od lat trzydziestu. Lecz i tu spotykamy syndykaty cukru, surowca, szkła lustrzanego, wyrobów przędzalnianych i inne.

Odmienne stanowisko zajął wobec niespodziewanie powstałej instytucyi t. zw. socyalizm katedralny. Szkoła ta, dziś wszechwładnie panująca w uniwersytetach niemieckich, rozpada się na dwa obozy. Lewe skrzydło, grupujące się koło ekonomisty Brentano, głosi ewangelię „spokoju społecznego" i czerpie otuchę ze spokojnego przebiegu spraw społecznych w Anglii. Zaleca zatem stale medykamenty angielskie: trades-uniony, oparte na wolności związków, dla najmitów, stowarzyszenia spożywcze, prawodawstwo społeczne. Lecz pozostała jedna choroba, dla której nawet w aptece angielskiej nie znaleziono radykalnych środków: kryzysy i nadprodukcya. Otóż gdy rozeszła się w nauce wieść o rozkwicie karteli, Brentano i jego szkoła zawołały: *eureka!* Kryzysy odtąd muszą pierzchnąć, jak dręcząca ludzkość zmora. Wszak kartele są tylko reakcyą przeciwko rozuzdaniu współzawodnictwa i towarzyszącej mu bezładnej produkcyi, zalewającej rynek na oślep. Kartele mają zatem misyę zbawienia ludzkości od plagi kryzysu. Ażeby zaskarbić sympatyę ogółu dla nowych władców przemysłu, nie zapomniano zaznaczyć, jakie przysługi oddadzą kartele warstwom pracującym. Z chwilą gdy ustaną zawieruchy przesileń, a w atmosferze produkcyi zapanuje wieczna wiosna, przeminą również bezrobocia i chwiejne konjunktury tak smutnie odbijające się na położeniu wyrobnika.

Prawe skrzydło socyalizmu katedralnego, mniej sprzyjające zbiorowej samopomocy i kładące większy nacisk na pomoc państwa, wydało opinię, zabarwioną pewnym pesymizmem. Przedewszystkiem brak konkurencyi prowadzi do znęcania się sprzedawcy nad kupującą publicznością. Meta, do której tutaj może się posunąć sprzedawca, odstępuje w dal. Oprócz tego, takie samowładztwo musi zmienić stosunek przedsiębiorców do personelu pracującego. Organizacya zawodowa wyrobników stanowczo nie wytrzyma naporu zrzeszonego kartelu. Dlatego też państwo powinno rozciągnąć swą kontrolę nad syndyka-

tami. W ankiecie, sporządzonej w sprawie karteli przez „Towarzystwo społecznej polityki,“ ekonomista Bücher domagał się specyalnych urzędów państwowych, poświęconych kartelom t. zw. *Kartellamter*, Urząd ten nietylko rejestrowałby wszystkie istniejące syndykaty, lecz śledziłby bacznie ich działalność, unieważniając w razie potrzeby ustawy albo rozwiązując szkodliwe dla ogółu syndykaty. Odważono się nawet zaprojektować wywłaszczanie przez państwo karteli w pewnych warunkach. Prawe skrzydło bowiem socyalizmu katedralnego oddawna już oświadcza się, jakkolwiek niestanowczo i bardzo platonicznie, za upaństwowieniem niektórych gałęzi przemysłu górnictwa. Syndykat węglowy, który, jak zobaczymy, ma sporo grzechów na swem sumieniu, powinienby, według tej teoryi, paść pierwszy ofiarą upaństwowienia.

Obóz społeczny powitał syndykaty „życzliwie,“ o tyle, iż upatruje w nich instytucyę, wieńczącą gmach produkcyi współczesnej. Syndykaty, przyspieszając proces nagromadzania bogactw, rozwijają rażące nas sprzeczności życia przemysłowego. Otchłań pomiędzy posiadaniem a nieposiadaniem rozrasta się, a zarazem sama technika procesu wytwórczego, przyjmuje na nowej podstawie formy odmienne. Przemysł centralizuje się dalej. Jak syndykaty wpłyną na ceny rynkowe, trudno było przepowiedzieć. Przykład instytucyj amerykańskich nie dawał powodu do obaw. Jest to rzecz zrozumiała, iż początkujące i młodociane instytucye zachowują się skromniej, niż świadomi swej władzy potentaci. Wyrażono atoli obawę, iż ręka ich zaciąży z czasem bardzo boleśnie na zgarbionych barkach pracowników. Wyrok ten poddał rewizyi, i to bardzo przychylnej, Edw. Bernstein, umysł bezwarunkowo krytyczny, lecz mimo to mało oryginalny i twórczy, co ważniejsza w danym razie, skłonny do optymizmu i oportunizmu. On to puścił w obieg teoryę o roli syndykatów, jako klapy bezpieczeństwa. Wtórował mu z nieco odległego obozu socyolog Waisengrün, który w dwu pracach wystawił bardzo pochlebną cenzurę kartelom, jako regulatorom produkcyi. Zdawało się wprost, iż produkcya współczesna na zasadzie cudownej własności samolecznictwa, wyłoniła z siebie instytucye, mające zapobiedz przepełnieniu rynku towarami. Skoro konkurencya krajowe ujęta została w karby normy, kryzysy są zatem niemożliwe, a co najmniej nieprawdopodobne, zwłaszcza iż w czasie, kiedy teorye te wygłaszano, niebo rynkowe było prawdziwie Böcklinowskie.

Niestety, rzeczywistość nietylko oddała racyę pesymistom, ale nawet poniekąd prześcignęła najgorsze wróżby.

A więc przedewszystkiem kartele wzięły na siebie rolę hamulców postępu społecznego. Potrafiły one tak dalece opętać sfery rządowe Niemiec, iż nie są one w stanie przedsięwziąć czegokolwiek wbrew ich woli. Zarówno poprzedni minister handlu, jak obecny, są krwią z ich krwi i kością z ich kości. Poprzedni minister Brefeld zmuszony był, po objęciu teki, przyrzec uroczyście delegatowi wielkiego „Centralnego związku przemysłowców niemieckich,“ który obecnie będzie reprezentował „kartel karteli,“ iż nie będzie zbytnio szafował reformami społecznemi. Wiedział bowiem, iż w przeciwnym razie spotka go los poprzednika, wysadzonego z siodła drogą intryg za przesadną gorliwość społeczną. Obecny minister handlu Möller jest duszą i wodzirejem licznych syndykatów. To też żywot jego napewno nie zostanie splamiony żadnym zapędem społecznym. Co więcej, syndykaty ciągle podszczuwały rząd przeciwko ludowi pracującemu. Jak to wyszło na jaw w przeszłym roku, projekt prawa Zuchthausowego był nietylko ich sprawką, ale co gorsza wspomniany wyżej „Związek Centralny“ złożył na ręce rządu 12,000 marek tytułem funduszu agitacyjnego. Za te pieniądze miano rozpowszechniać bibułę, wystawiającą we właściwem świetle pożądliwość bezgraniczną sfer pracujących. Nietrudno się domyśleć, jak tego rodzaju opoki egoizmu klasowego bronią zawzięcie każdego grosza, żądanego od nich w imię humanitarności społecznej, a nawet sprawiedliwości, praktykowanej w życiu ekonomicznem.

Wreszcie w innym wypadku kartele pokierowały sprawami publicznemi na szkodę ogółu. Powszechnie wiadomo, iż większość pozycyj ustawy przez nie właśnie została podyktowaną rządowi. Podobnie jak w innych razach tak i tu, organizacya unosabiająca setki milionów w formie skondensowanej, zdołała wywrzeć silniejszy nacisk od kroczących w rozsypkę osobników, chociażby każdy z nich reprezentował miliony. Słowem, kartele wyrosły na despotów i rozkazodawców społeczeństwa.

Najbardziej jednak rozwiały one nadzieje tych teoretyków, którzy spodziewali się po nich wpływu zbawiennego na rytm rynku i kształtowanie się cen.

Każdy z kryzysów XIX stul. był grzmotem, budzącym ludzkość i naukę ze snu, do którego kołysali je optymiści. Wrażenie, sprawiane przez wielkie krachy przemysłowe, było tak potężne, iż zdarzało się nawet, że ci sami ekonomiści, którzy w przeddzień przesilenia dedukcyjnie, na zasadzie „niezbitych“ dowodów, wróżyli ludzkości wieczną wiosnę przemysłową i społeczną, z wybuchem kryzysu bili się w piersi i odwoływali swe optymistyczne poglądy. Gryndérski rok 1873 stanowi pod tym względem poniekąd epokę, gdyż zdyskredytował do reszty wiarę w zbawienność wolnej konkurencyi. Ostatni kryzys obecny był znów porażką dla tych uczonych, którzy pokładali całą swą nadzieję w kartelach, jako regulatorach produkcyi. Rzeczywistość zadała w okrutny sposób kłam złudzeniom, które chcieli wpajać w ludzkość. Jest to prawdziwa ironia losu, iż uczeń tego samego ekonomisty Brentano, który pierwszy pasował syndykaty na zbawców ludzkości, niejaki Teodor Vogelstein, zająwszy się kwestyą wpływu karteli na ceny, badaniami swemi rozwiał do gruntu legendę, szerzoną przez swego mistrza. W świeżo wydanej monografii p. t. „Przemysł prowincyi nadreńskiej w latach 1888—1900, przyczynek do kwestyi polityki handlowej i karteli,“ wykazuje on, iż związki przedsiębiorców nietylko nie łagodziły przebiegu kryzysu, ale przeciwnie zaostrzały go i przyspieszały, wprowadzając ciągłą zmianą cen na tak podstawowe środki produkcyi, jak węgiel i żelazo, zamęt do powszechnej i tak paniki.

Jeśli w świetle faktów przyjrzymy się zbliska taktyce syndykatów, to przedewszystkiem uderzy nas, iż chciwość ich zaciążyła boleśnie tylko na wewnętrznym rynku, obwarowanym od zewnętrznej konkurencyi podwójnymi okopami: celnymi i monopolowymi, na zasadzie związku syndykatowego. Jak już zaznaczyliśmy przed kilku tygodniami, mówiąc o kwestyi cukrowej, syndykaty obsypują zagranicę łaskami i ustępstwami, kosztem własnego kraju. Bal są one nawet zmuszone w celu możliwie zupełnego podbicia rynków zagranicznych, wyzyskiwać gruntownie swych współobywateli. Im wyżej podnoszą cenę u siebie w domu, tem niżej mogą ją opuścić na rynku wszechświatowym, wyrównywając w taki sposób swe zyski i straty. Tonna surowca kosztowała w Niemczech w roku 1894—5 o 18,5—19 marek drożej, niż w Anglii. Od tego czasu różnica wzrasta. W 1896 r. wynosiła ona już 18,5—19,75. W 1897 r. podskoczyła do 20 marek, a w przeciągu czterech lat podniosła się stopniowo do 47,50. Gdy na angielskim rynku tonna surowca kosztowała tylko 50,5 marek, spożywca niemiecki musiał płacić prawie wdwójnasób, gdyż aż 98 marek. Dalej, gdy w Anglii od 9 lipca 1900 r. do 7 stycznia 1901 cena spadała stopniowo z 68 m. do 50,5 m., w Niemczech trzymała się uporczywie na niezmiennej wysokości 98 m. W czasach normalnych różnica między rynkiem angielskim i niemieckim wypływała z cła i kosztów przewozu. Lecz w okresie, kiedy gorączka wytwórcza doszła w przededniu kryzysu do punktu wrzenia i najwyższego napięcia, upośledzenie rynku krajowego w porównaniu z zagranicznym odkskiwało od różnicy w cłach i frachcie o 25,50 nawet 100%! Kartele usiłowały uświęcić i utrwalić ten bajeczny wyzysk drogą długoterminowych kontraktów, na które w czasach niezwykłej konjunktury klienci ich musieli przystawać. Tej samej polityki trzymały się kartele, wytwarzające żelazo sztabowe, szyny stalowe itp. Gdyby zatem mogła być jakakolwiek mowa o zbawiennej regulacyi cen, to tylko w ironicznem tego słowa znaczeniu. Byłoby to normowanie cen nieco podobne do tego, jakie praktykowali kupcy średniowieczni wrzucają całe ładunki pieprzu do morza. Dziś wprawdzie spekulanci nie niszczą swych zapasów, lecz głównie dlatego, że zmowa kartelowa wszystkich wytwórców danej gałęzi przemysłowej wystarcza do utrzymania ceny na pewnej wysokości. Syndykaty za to śrubują cenę do góry, by w ten sposób pokryć straty, ponoszone na rynku zagranicznym, potrzebnym im dla uniknięcia nadprodukcyi. Tylko dlatego natężenia popytu i podaży znoszą się jako tako, że wielki ogół współobywateli ponosi cierpliwie koszty tej regulacyi.“ Jest to fakt charakterystyczny, iż nawet wtedy, gdy na rynku wszechświatowym ceny zaczęły spadać, klient krajowy na mocy długoterminowych kontraktów, wypłacał wciąż starą daninę władcom przemysłowym.

H. Forszteter.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Izmy arlekina.

Pomimo usilnych starań, ażeby ciągle znajdować się w ostatniej wielkiej fali umysłowej mojego czasu, nieraz odbierałem ostre napomnienia za to, że się opóźniam, a niejeden jeździec postępu, uzbrojony ostrogami i szpicrutą, chciał mnie dosiąść i okazać, że pod nim mógłbym pierwszy przybiegać do mety. Działo się to zwykle wtedy, kiedy wynaleziono gdzieś na świecie świeży *izm*, a ja nie zostałem przedstawicielem nowej firmy na Królestwo Polskie z przyległościami i nie sprzedawałem jej towaru. Wyznaję, że istotnie nie czułem w sobie do tego ani chęci, ani zdolności. Gdybym był kupcem, handlowałbym jakimś ogromnym wytworem pracy ludzkiej — np. chlebem, ale nigdy — przemysłowym konceptem chwili — np. pigułkami (z sadzy) przeciwko migrenie. Jako pisarz szerzyłem tylko wielkie idee — maleńkie idejki, chociażby świeżutkie, wczoraj upieczone, nie nęciły mnie wcale. Ponieważ zaś takie idee rodzą się co kilkadziesiąt lat, a takie idejki codzień, więc wyznawca pierwszych musi być prędzej czy później zdystansowanym. Jest to dla ambicyi zwolenników przodowania w wyścigu wypadek przykry, ale dla pewnego rodzaju umysłów

niezuniknony. Sądzę też, że wielu z czytelników moich poddawało się tej konieczności może nawet bez bólu. Bo przypuśćmy, iż w mieście Saponcourt jakiś genialny Francuz, odebrany z zakładu „dla nerwowych“ i będący „na opiece rodziny,“ wyfilozofował, że duży palec u nogi ludzkiej jest głównym organem duszy wszechświata, gdyż przez jego bóle podagryczne wyraża ona swą naganę za nieumiarkowane życie człowieka, a przez bóle odciskowe podczas zmian atmosferycznych stwierdza jego łączność z ruchem i cierpieniami natury. Rozumie się, wiadomość o tej nowej filozofii, zwanej *orteilizmem*, telegrafem lub pocztą przyleci natychmiast do Warszawy, rozsypie się po wszystkich dziennikach, a na pierwszy szereg rycerzy postępu włoży obowiązek sprawienia sobie nowego sztandaru z ostatnim *izmem*. Zobaczywszy ten znak, prawdopodobnie uczuwacie niechęć, a nawet niemożliwość przyjęcia go za godło waszych myśli i dążeń. Wielki palec u nogi jest narządem użytecznym, jego bóle podagryczne powstają w jakimś związku ze sposobem życia człowieka, a jego dolegliwości odciskowe — ze zmianami atmosfery. Ale żeby on miał być organem duszy wszechświata— na to trudno się zgodzić nawet pod groźbą niesławy wstecznictwa.

Trudno nietylko ze względów teoretycznych, ale także praktycznych. Nowe bowiem *izmy* mnożą się z taką nadzwyczajną szybkością, że chcąc je sobie przyswoić, należałoby nie jeść, nie spać, nie myśleć, tylko zmieniać skórę filozoficzną. Zwłaszcza w kołach ognisk najwyższej kultury europejskiej pojawiają się one z płodnością ryb i owadów. Dziś dowiadujemy się, że celem życia człowieka jest zginanie ciała w tył aż do pięt, jutro, że cała możliwa mądrość ludzka wlazła w Platona, pojutrze, że różnica płci opiera się na karygodnem nieporozumieniu, następnie że powinniśmy odżywiać się nie przez usta, lecz mocząc nogi w roztworze białka, że prawdziwa sztuka w malarstwie polega na falistych smugach żółto-czerwonych, a w poezyi na wydrążeniu ze słów wszelkiej treści itd. Czy podobna, wobec tego mnóstwa nowych kierunków, z których przytem każdy wymaga ofiary ze zdrowego rozsądku, iść na czele każdego?

Nie dziw też, że ludzie szczerze miłujący postęp, skarżą się. Ale na kogo? Na kulturę europejską, która według nich fabrykuje najdziwaczniejsze *izmy*. Rzeczywiście, chociaż my należymy do chętniejszych spożywców tego produktu, w wyrabianiu go przyjmujemy udział bardzo mały. *Izmy* są przeważnie do nas sprowadzane z zagranicy. Czy jednakże można powiedzieć, że ona dostała gorączki i nią nas zaraża? Czy można powiedzieć, że Europa zachodnia zgłupiała i nas ogłupia? Mówiono, że Jean Paul zbierał po drogach stare żelaztwo, którem po jego śmierci był napełniony cały pokój. Byron pod koniec życia znajdował szczególną przyjemność, trzymając ręce pogrążone w złotych pieniądzach. Bacon oszukiwał, Heine był na żołdzie francuskim, Voltaire łasił się mocarzom, Zöllner zajmował się spirytyzmem. Otóż czy słabości i niecnoty J. Paula, Byrona, Bacona, Heinego, Voltaire'a, Zöllnera były jedynymi objawami ich geniuszu i charakteru? Czy na drugiej szali ich życia nie leżały ogromne zasługi, które ją przeważały? Podobnie rzecz się ma z całą cywilizacyą zachodnią. Jest ona matką potworów, płodów poronionych, kalek, idyotów, obłąkańców, ale rodzi również bardzo liczne potomstwo zdrowe i dzielne. Kultura nie jest wodą dystylowaną w alembikach, ale szeroką i głęboką rzeką, której nurt niesie na sobie obok okrętów z owocami pracy i obok ludzi uczciwych, statki korsarskie, złodziejów, śmiecie, odpadki, padlinę, wszystko dobre i złe, co się wytwarza w życiu. Narodom, dokonywającym wielkich badań i odkryć, bogacącym olbrzymimi skarbami wiedzę, sztukę i przemysł, doskonalącym ustawicznie organizacyę stosunków społecznych, wolno mieć, a przynajmniej nie szkodzą im majaczenia w nauce, bziki w artyzmie, waryaci udający proroków, półgłówki z minami mędrców, cała ta wrzawa szpitala i knajpy, cały ten kurz, który w młynach osiada na ścianach i pułapie, szczypie w oczy, zanieczyszcza szyby, ale ostatecznie nie przeszkadza dobywać z ziarna czystej mąki. Z tej mąki, a nie z tego kurzu wypieka się chleb ich żywota.

Staje się on dopiero niebezpiecznym dla społeczeństw, które z niego rozczyniają swój chleb. Niedość umysłowo rozwinięte i uzdolnione, ażeby mogły same wyrabiać lub przetrawiać cudzą esencyę kultury, chwytają jej jaskrawe pozory, drażniące przymieszki, podniecające odwary, którymi się upajają i w odurzeniu sądzą, że stoją na szczytach cywilizacyi.

Tak właśnie jest u nas. Nauka ledwie dyszy, sztuka włóczy się po obcych krajach, oświata ludu ma swój niedościgniony ideał w elementarzu, moralność ogląda się tylko na paragrafy kodeksu, obowiązki obywatelskie spełniane są w synekurach, dobroczynność tańczy lub składa ofiary „zamiast powinszowań noworocznych,“ ale wszystkie *izmy*, jakie gdziekolwiek wylęgną się w głowach pijanych, chorych lub ciemnych, sprowadzamy natychmiast. Może genialny badacz odkryć wielką prawdę i ona przez rok nie zawędruje do naszej literatury; ale niech ktoś we Francyi wymyśli *orteilizm*, za trzy dni będzie miał wyznawców w Warszawie. I jakich wyznawców! Gotowych nam z pogardą zawołać: „możecie panowie już odpocząć.“

Wiedza nie bankrutuje, sztuka nie zwaryowała, moralności robactwo nie stoczyło, wogóle cywilizacya nowoczesna nie zapada się — nie! Tylko jedne społeczeństwa piją jej zdrowe soki z szumowinami, a drugie — szumowiny ze skąpemi kroplami zdrowych soków. Narody kulturalnie płodne i silne pracują, badają, tworzą, a przytem szaleją i głupieją, tymczasem narody kulturalnie słabe przeważnie szaleją i głupieją. Oto zasadnicza różnica. Nie smuciłyby i nie trwożyły bzikowe *izmy*, które do nas zdala przylatują, gdybyśmy jednocześnie wytwarzali dla nich przeciwwagę w dorobkach dodatniej i trwałej wartości. Ale tej przeciwwagi niema. Znajomość satanizmów, dekadentyzmów, wibryonizmów, okultyzmów itd. nie zasili naszego życia, bo ona go nic zasila nigdzie. Naśladujemy obcych posłów, kiedy wyszedłszy z sali obrad do bufetu, głaszczą kawiarkę pod brodę, naśladujemy rzemieślników, kiedy obchodzą święta sutemi biesiadami; naśladujemy artystów, kiedy dogadzają swym fantazyom; ale nie naśladujemy tych posłów, rzemieślników, artystów, kiedy oni pracują. A ogółowi naszemu zdaje się, że Francuzi, Anglicy, Niemcy tylko bawią się z kokotami, pisują bezsensowne wiersze, piją ciągle piwo, grają w ruletę i zapalają banknotami cygara. Ich poważna robota, dzieła ich geniuszu są przed naszym wzrokiem zakryte tumanem śmieszności, szaleństw i głupstwa. Dzięki temu symbolem naszej kultury mógłby być murzyn w szambelańskim kapeluszu, w czerwonym, szychami obszytym płaszczu, z miedzianą dewizką przy pedometrze zamiast zegarka, w perkalowych spodniach i boso: Innemi słowy: jesteśmy biedni i ciemni, ale przybrani w jaskrawe i cudaczne *izmy*. Jeżeli ten strój ma być szatą postępu, w takim razie na przedzie ludzkiego pochodu idzie nie wódz, nawet nie dobosz, lecz arlekin.

Poseł Prawdy.

LITERATURA I SZTUKA.

MARYA KONOPNICKA.

II.

A teraz zobaczmy, jak się dokoła tego pnia ugrupowały gałęzie.

Jest w duszy Konopnickiej ból, cierpienie. Jest też to cierpienie uzasadnione. Czem?.. Wszak każdy wie o tem, skąd ta nuta... Lecz nie jest ona tradycyą romantyczną, przeszczepioną w twórczości Konopnickiej. Bajronizm, krańcowy pesymizm, grzęźnięcie w kałuży własnej krwi— wszystko to stało się tradycyjną cechą poety. Bez tego ogół nie chciał pojmować twórcy. Nie był nim ten, kto nie rozdzierał szat swych i nie okrywał kirem zwątpienia swych marzeń i nie przelewał z próżnego w puste swych uczuć. Ta poezya przerodziła się w trywialne niedołęztwo, w teoryę o niemocy, w oklepaną monotonię głuchych i pustych słów. Poeta taki pieścił „swój ból oswojony, niby gadzinę po wyrwaniu jadu.“ Całą swą moc wcielał w słowa o rzekomej niemocy.

U Konopnickiej ból nie jest cierpieniem zindywidualizowanem, nie jest spowodowany świadomością własnej niemocy, rozdźwięku między rzeczywistością własnych marzeń a niemożnością realizacyi dla osobistego pożytku i potrzeby — ból Konopnickiej bierze zaczątek z przedmiotów po za nią leżących, niezwiązanych z jej osobistością bezpośrednio, ze społeczeństwa.

Ona sama wierzy — mniejsza o to, czy bezwzględnie i bez zastrzeżeń — wierzy. *Contra spem spero* — woła.

W głębi mogił czuję życia dreszcze
I ufam jeszcze
Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów!
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów...
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei
Przeciw nadziei!

Nadzieja ta uchroniła poezyę Konopnickiej od kilku czynników psychicznych. A może ją ograniczyła?

Gdyby bowiem każdemu spojrzeniu poetki w otoczenie towarzyszyć miał, jako skutek, zawód, a w dalszem tego następstwie niesmak, wytworzyćby się musiała w krainie jej duszy pogarda dla świata lub w najlepszym razie jego zironizowanie. Tego zaś w poezyi Konopnickiej niema. Nigdy jej słowo nie przybierało tonu pogardy, zgryźliwości, nigdy nie miało barwy satyrycznej, nie stawiało sobie za cel ironii. W tem tkwi wyższość charakteru Konopnickiej. Ból nie zdołał rozsadzić jej nadziei, przyoblekał tylko czoło cieniem melancholii...

Nie bądźmy natrętni; nie chciejmy zbytnio podglądać pod tę warstwę psychiczną, na której krystalizowała się „nadzieja“ Konopnickiej. Czy nie bez szamotań się, walk wewnętrznych — nie pytajmy.

Lecz jaka przyczyna jej bólu? Dlaczego, mimo ożywczego tchnienia nadziei, nie stroi się jej dusza w uczucie wesela?

Otóż Konopnicka nie widzi, aby nadzieje jej ziścić się mogły. Nie widzi wśród społeczeństwa tej inicyatywy ku dobremu, ku postępowi, ku świtom. Przeciwnie: wszędy spotyka martwotę ducha, bierność, słabość. Kiedy poeta śpiewa, to nuci „pieśń słowiczą a miłosną,“ wywodzi płacze nad sobą samym, a ona chciałaby słyszeć wokół siebie pieśń taką, „co na orlich skrzydłach lata, chorągwianą pieśń ogromną.“

Stąd to wplata się w poezyę Konopnickiej hasło do ocknienia się.

...... się trzeba jak płomień wyrzucić
W górę z ogromną siłą i ze wzgardą,
Dla tej miłości, co nas chce zawrócić
I zdjąć nam z czoła ostatnią myśl hardą,
Myśl, co się blasków paliła koroną
Nad każdą głową wielką—a zelżoną...
Nam trzeba wzbić się własnemi skrzydłami...

Wzbić się, nie zostać wyciągniętym, ku rozłogom szczęścia, dobra, prawdy, piękna — oto jej ideał. Lecz... w jaki sposób?..

...gdzie są pieśni ogromne? gdzie bogi?
Gdzie wodze? Gdzie krzyk zwycięstwa daleki?

Gdzie ów szczęśliwy moment twórczy, owa iskra ukryta w popiele, a jednak wciąż tlejąca?

I oto nowy pierwiastek w poezyi Konopnickiej: smutek...

Nie ma tego, coby dusza rada widziała i czuła, stąd cichy, rzewny, skupiony w sobie, czasem tylko perełką łzy po przez oczy duszy występujący smutek...

A kiedy porzucimy sferę myślową Konopnickiej, tam, gdzie na skrzydłach tęsknoty wzlatuje ku swemu idealnemu królestwu, i przerzucimy się w stronę, gdzie się urabia jej uczucie, spotkamy coś zupełnie przeciwnego.

Tu nie ból, nie smutek, nie tęsknota są decydującymi czynnikami twórczości — tu znajdujemy się wobec żywiołowej niemal siły ekstazy, namiętności i rozkipienia zmysłów. Altruistycznemu wyzbyciu się swego ja i podporządkowaniu go ogółowi, tłumieniu wszelkich osobistych potrzeb wobec ogromu boleści, tkwiącej w ludzkości— przeciwstawia się egoistyczne podniecenie wobec przyrody.

Wobec niej znika myśl o przyszłości, następuje jaskrawy kontrast między ideą a jej ziszczeniem, i spływa falą uczucie... Fala po fali uderza o serce, spiętrza i gromadzi uczucie, z oczu sypie skry, przenika ciało wonią świeżą a upajającą, a na usta spędza dytyramby zachwytu. Wszystko, przestwór najbliższy i najdalszy, zaczyna kołować, wpada w coraz zawrotniejszy, coraz szybszy wir; przedmioty zyskują lśniący połysk zmysłowości, rozpalają się wreszcie tym szałem i namiętnością, w których następuje to tajemnicze i trudne do wytłomaczenia rozumem stopienie się duszy ludzkiej z przyrodą, ten moment, w którym z człowieka staje się *Deus, daemon, philosophus et omnia...*

Poezya Konopnickiej zawiera wiele tych momentów zogniskowania się wszechprzyrody w duszy twórcy.

Siła tego połączenia jest zarazem probierzem natchnienia poetyckiego. Im zdolniejszy jest poeta do ogarnięcia przyrody w uścisku rozmiłowanej duszy, im większą harmonię wytworzyć potrafi między sobą a przedmiotami natury, a wreszcie im szczerszem jest jego wypowiadanie się w przedmiocie tego stosunku — tem silniej oddziaływa jego poezya.

Konopnicka ani co do siły zjednoczenia z przyrodą, ani co do szczerości w wypowiadaniu uczuć i wrażeń, doznanych w chwilach natchnienia, nie wywołuje wątpliwości, ani niedowierzania. Siła jej talentu przejawia się tu w całym blasku. Słowo jej niemal fosforyzuje. Drga w niem podniecenie zmysłowe, rozbudzenie się i rozegranie wszystkich tych uśpionych mocy, które pod wpływem oddziaływania przyrody uczuły w sobie na nowo tętniące życie.

Począwszy od przyziemnych, nikłych tworów zielnych —

(Wykąpane w wód przeźroczy
Niezabudki kupką całą,
Otworzyły modre oczy:
Co się stało? co się stało?)

poprzez męty i nurty w zawrotnych głębiach jarów i czeluści skalnych —

(Powój dziki mnie oplata,
We mgle idę, w pianach ginę;
Coś drży we mnie, pała, wzlata,
Coś się zmienia w biegu świata...)

aż po rozłogi, hen ponad głosem ziemskim, ponad dolą ludzką —

(Ktoś na szczytach woła,
Jako harfa głos odbrzmiewam...
Ogniem płoną skalne czoła,
Brzmi *excelsior* dookoła —
Lecę — błyskam — śpiewam...)

wszędy to rozkipienie, to dyonizyjskie wrzenie, ten śmiały krok w rozkołysane fale życia.

Rozkosz i podniecenie zmysłowe jest w poezyi Konopnickiej uczuciową reakcyą przeciw myślowej naleciałości bólu, wywołanego pesymistycznym sądem o ideale ludzkości.

Rozejrzyjmy się na chwilę w przedmiotach artyzmu Konopnickiej.

Uderza przedewszystkiem wielka ich rozmaitość. Konopnicka jest talentem wielostronnym. Granice jego zakreślają koło, na którego powierzchni szybują najróżnorodniejsze pomysły i motywy. Czy to jako śpiewaczka ludu i duszy dziecięcej, czy jako autorka „Balcera“ i „Italii“ — zawsze i wszędzie nadaje ona przedmiotowi swej twórczości cechę odrębności i pełni.

Niema w jej poezyi jednego, pierwszorzędnego, wszechstronnego i wszechwładnego przedmiotu, któryby do innych pozostawał w takim stosunku, byśmy te inne mogli nazwać drugorzędnymi. Takim np. jest Przybyszewski. U niego jeden temat o „szatańskiem“ powiązaniu się stosunków płciowych tak dalece owładnął twórczością autora, że jest niejako drogowskazem i słońcem, około którego obracają się księżyce.

U Konopnickiej niema przedmiotowego podziału na słońca i księżyce. Są same słońca. Każdy przedmiot, którego tknie twórcza ręka poetki, poczyna jaśnieć blaskiem słonecznym.

Siła ducha twórczego Konopnickiej opromienia równą jaśnią wszystkie przedmioty.

Lecz jakie piętno na nich wyciska?

W rozprawie o „Juliuszu II“ Klaczki tak się Konopnicka wyraża o autorze. „Podziwiać należy — powiada— ogromne czucie przedmiotu. To jest tajemnica tego doskonałego panowania nad przedmiotem, aż do ujarzmienia go aż do uczynienia go swoim cieniem, sobą. To jest tajemnica tego przeniknięcia się wzajem umysłu i przedmiotu, tego zespolenia się ich, wprost organicznego. Teraz już wiemy, że ten punkt magistralny, punkt, z którego nawskróś da się przejrzeć przedmiot dzieła, będzie zawsze tam, gdzie działa myśl autora, gdzie bije serce jego. Serce — stale do bieguna zwrócone, myśl — stale około słońca swojego krążąca.

Wmyślenie się i wczucie w przedmiot, aż do wchłonięcia go w siebie, aż do zagubienia się w nim — oto jest czarodziejska strategia dzieł Klaczki.“

A teraz zestawmy „strategię“ Klaczki i Konopnickiej. I u niej to „ogromne czucie przedmiotu,“ to „wmyślenie się i wczucie w przedmiot“ nie mniejszą odgrywają rolę, niż u autora „Wieczorów florenckich.“ A przecież inaczej się przejawia po przejściu przez odlew twórczy Klaczki, a inaczej po wcieleniu przez Konopnicką.

Przyczyna tkwi w tem. Przedmiot, który Klaczko omawia, opisuje, opiewa, leży pod nim lub co najwyżej na równej z nim powierzchni; u Konopnickiej przeciwnie: wzniesiony jest wysoko, nad nią; Konopnicka musi ku swemu przedmiotowi wzwyż spoglądać, i to przyklęka, modli się doń, entuzyazmuje się nim, bo się jej przedmiot przyoblekł w kształty, mieniące się cudownymi blaskami, bo wyszlachetniał i wysubtelniał, zatracił wszystkie cechy ziemskie i cały jest skąpany w świetlanych strugach poezyi...

Pod takim kątem widzenia patrzy Konopnicka na swój przedmiot. Klaczko, kiedy pisze, to — zdaje się — rozprawia o dobranem a wytwornem towarzystwie ludzi o wysokiej kulturze estetycznej, każde jego słowo jest z matematyczną ścisłością obliczone, wszystko genialnie przewidziane i przemyślane, jedyną dążnością piszącego jest oddanie absolutnej sprawiedliwości swemu tematowi, sprowadzenie przedmiotu do rzeczywistości i przejawienie go w tej formie. Dlatego też powiedziałem, że Klaczko znajduje się na równej powierzchni ze swym przedmiotem. Aby mu nadać kształty indywidualne, potrzebuje „półświatła, półcienia, półironii, półzapału, półharmonii.“

Tej połowiczności Konopnicka nie znosi. Jej trzeba i olbrzymiej szerokości i przepastnej głębi i nieprzejrzanych wysokości, aby przedmiot swej twórczości zmieścić mogła.

W takim „umysłowym salonie,“ po jakim przechadza się Klaczko, Konopnicką opadłoby natchnienie, opuściłaby ją swoboda, dusiła wymuszoność i brak wolności.

Bo kiedy ona rozmiłowanem okiem powiedzie po przedmiocie, któremu zamierza nadać kształty poetyckie, to go jej natchnienie bierze na skrzydła i hen po rozłogach, po szczytach uczuć i myśli wwiedzie w sanktuarya twórczyni...

Tam dopiero, w żarze i blaskach, następuje ostateczne jego wcielenie.

A Klaczko najwspanialsze swe utwory umiejscawia w — salonie.

(D. n.)

Bertold Merwin.

Franciszek Bret-Harte.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Twórczość Ameryki na polu sztuki i literatury, aczkolwiek pozbawiona odwiecznych tradycyj artystycznych i rozwijająca się w warunkach nieraz wręcz im wrogich, może się pochwalić w XIX w. szeregiem dzieł i ludzi, którym najoryginalniejsze i najbogatsze literatury Europy nie odmówiłyby zaszczytnego miejsca wśród swoich chwał i znakomitości.

Tacy pisarze jak Edgar Poë, Walt Whitman, Emerson, Longfeellow, Bret-Harte i Mark Twain, to pierwszorzędne siły twórcze, któremi słusznie Ameryka się chlubi. Ed. Poë i Walt Whitman, chociaż niezbyt popularni w szerszych kołach, odcisnęli swoją niepospolitą indywidualność na kierunkach i prądach artystycznych ostatnich czasów; Emersona, gdy mowa o naszych próbach odrodzenia moralnego— niepodobna pominąć; co zaś do Bret-Harte'a i M. Twain'a, to tych chyba czytano i uznawano powszechnie.

Żywot i dzieła, zmarłego przed kilku dniami w Anglii, w hrabstwie Surrey, Bret-Harte'a, zrosły się i u nas z pojęciem niektórych charakterystycznych stron życia amerykańskiego, wogóle spraw i stosunków, dla których oceny i zrozumienia utarte formuły obyczajowe i etyczne starej Europy nie wystarczają.

Życiem własnem, pełnem nagłych zwrotów i najbardziej odskakujących od siebie zatrudnień (Bret-Harte był, między innemi, posłańcem, zecerem, poszukiwaczem złota, profesorem, redaktorem, konsulem), itp. streszczał poniekąd historyę życia społeczeństwa, które go wydało; w dziełach swoich — odtwarzał to osobliwsze życie, jego świeżość, rzutkość, poezyę płynącą z energii wieczyście wy-

tężonej, spragnionej nowych wysiłków i nowych zdobyczy.

Świat, odbity w utworach Bret-Harte'a jest światem woli, czynu bezpośredniego niespętanego przeszłością, nie rozmarzającego się przyszłością, zastosowanego do wymagań chwili bieżącej, do opanowania teraźniejszości. Konwenanse, moralność automatyczna, cnota z nałogu albo z wyrachowania, nie rządzą tym światem. Tu życie jest surowe, żywiołowe, pozbawione poloru i poprawności, w układzie swoim niepewne, nieustalone. Zło i dobro powstają tu samorzutnie, z jednego wychodzą źródła—ze szczerości instynktów ludzkich. O ludziach, których tu spotykamy nie można z góry wiedzieć, jak się zachowają w danej sytuacyi. Robią nam oni same niespodzianki, nieraz tak nieoczekiwane i niezgodne z ich urzędowym poniekąd charakterem, że mógłby ich ktoś posądzić o chęć wywoływania efektów. Jak najmniej wszakże im o to chodzi: żyją tak, jak mogą, jak muszą, ujawniają najlepsze i najlichsze uczucia, bez myśli o ich zgodności z tym lub innym kodeksem etycznym, pod wpływem nagłych wstrząśnień i intuicyj ducha swego. Ogromna poezya i niepospolita moralność wieje od tych ludzi z utworów Bret-Harte'a. Spotykamy wśród nich najczęściej wszelkiego rodzaju wyrzutków i awanturników: szulerów, nierządnice, chciwych poszukiwaczy złota, pijaków, obieżyświatów itp. Oto, co o nich mówi sam Bret-Harte: „Było ich ze stu: paru znanych zbiegów przed karcącą sprawiedliwością, paru kryminalistów patentowanych, wielu przeróżnych stopni przestępców, ani jednego, któryby pozostawał w zupełnej zgodzie z prawami, kędyś tam, na starym lądzie, obowiązującemi ludzi..." (*Dobra dola Szumiącej Osady.*")

Ale cóż to kogo może obchodzić, że ma do czynienia z tak niedobranem towarzystwem, kiedy ci ludzie, z których żaden nie pozostawał w zgodzie z prawami obowiązującemi, mają zdolność odradzania się moralnego, naprzód przez pracę, a potem przez jakąś osobliwość dusz własnych, której „prawa obowiązujące" niezawsze czynią zadość. W tych mętach społecznych lęgną się najszlachetniejsze uczucia, te natury niesforne, wybujałe i zdegradowane, zdolne są do wzruszeń głębokich i utęsknień czystych. Bret-Harte wciąż nam te lepsze strony ich istoty odsłania. Oto zbiegowisko złożone z „przestępców przeróżnych stopni," poszukujących złota w „Szumiącej Osadzie," gromada ludzi odwykła od uczuć miękich, obojętnie spoglądająca na śmierć, wzrusza się nagle widokiem „żywej duszy," wciskającej się do Osady—widokiem nowonarodzonego dziecka nieszczęsnej nierządnicy, najpewniej poniewieranej przez wszystkich. Dokoła tej, nic nieznaczącej, „żywej duszy" skupiają się, rzec można, nadzieje tych surowych zdobywców materyi, staje się ona ich „dobrą dolą"—symbolem odmłodzenia moralnego.

Gdzieindziej pokazuje nam autor wesołą kobietkę, zdolną, zdawałoby się, tylko do wyzyskiwania i rujnowania wielbicieli swoich, która jednak wyrzeka się wszystkiego:—świata, życia, jego uciech i zostaje dobrowolnie opiekunką, siostrą miłosierdzia, niedołężnego paralityka, jednego z tych wielbicieli, który kiedyś „znał ją i stracił wszystko co posiadał." (*Miggless.*)

Inny rodzaj poświęcenia mamy w noweli *Brown of Calaveras*, gdzie Mr. Hamlin, szuler zawodowy, „wiozący w jednej kieszeni talię kart, rewolwer nabity w drugiej" — wyrzeka się żony przyjaciela swego, pijaka Browk'a, tylko dlatego, że temu się śniło, iż miał się nanowo pobrać z niewierną żoną swoją, przyczem ślub miał im dawać sam Mr. Hamlin.

Podobna okoliczność nie przemówiłaby najpewniej do Don Juanów „starego lądu," Mr. Hamlin jednak—wziął to na seryo... Nieprawdaż?—Są to same niespodzianki, czyny tak nieoczekiwane, niezgodne z moralnością ludzi, wyjętych niegdyś z pod prawa, że nikt by ich o coś podobnego nie podejrzewał. Dodać przytem trzeba, iż największe ich cnoty powstają naturalnie, a niepospolite objawy wysiłku moralnego, noszą charakter czegoś niezwykle łatwego, niegwałcącego ich natur szorstkich, bezwzględnych i nieuspołecznionych.

Przykładów mnożyć nie będziemy. Znajdzie je ciekawy czytelnik choćby w wyborze utworów nowelistycznych Bret-Harte'a, wydanych w 1885 r. w „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej," w doskonałym przekładzie p. W. Kościałkowskiej.

Z utworów Bret-Harte'a wieje nad podziw silny urok świeżości, jakby od życia samego, które nigdy nikogo nie oszukuje fałszem i udawaniem i, we wszystkich swoich ruchach i czynnościach, złych lub dobrych, wzniosłych czy gorszących, jest tem, czem może być, nie chcąc się wydawać gorszem lub lepszem. Pomijając niezrównany artyzm utworów pisarza amerykańskiego, zwłaszcza w zakresie noweli, który go stawia w jednym rzędzie z takimi nowelistami, jak: A. Daudet, G. de Maupassant, Turgeniew, Sienkiewicz itp., mają one dla nas jeszcze inną wartość, jako szczególniejsze dowody poglądów etycznych samego Bret-Harte'a. Kiedy na „starym lądzie" nie rozprawiano jeszcze o tak zwanej „religii cierpienia ludzkiego," kiedy modny dzisiaj ewangelizm zaledwie tu i owdzie kiełkował, utwory Bret - Harte'a głosiły już wymownie „moralność serca," były przepełnione głębokiem współczuciem dla nędznych i pohańbionych, przywracały im prawa, nietylko do miłości i litości ludzkiej, lecz i do szacunku... Są wśród nas moraliści, którzy rodzajem wzruszeń swoich wobec nędzy istnienia ludzkiego przypominają tych, łatwo rozrzewniających się widzów, co to potrafią wybuchać głośnym płaczem na przedstawieniach teatralnych, tam wszędzie, gdzie mają przed sobą nieszczęścia fikcyjne. Ci, wobec nieszczęść rzeczywistych, najczęściej pozostawaliby obojętnymi. Otóż natura wzruszeń Bret-Harte'a jest wręcz przeciwna: o ich szczerości nie można wątpić, wszędzie bowiem powstają nie pod wpływem urojonych sytuacyj niedoli ludzkiej, lecz najistotniejszych nieszczęść i cierpień rodzaju ludzkiego.

Wyrozumiałość autora na nędzę i występek nie jest sprawą doktryny, lecz delikatnego i rzewnego odczucia fatalizmów bytu.

Bret-Harte zostawił kilkanaście tomów; celował głównie w noweli, mniej szczęśliwym był w większych utworach (np. powieść „Gabryel Conroy"). Oddawna już milczał: popularnego niegdyś autora, dziś nieco zapomnianego, śmierć przypomniała wszystkim.

Wł. Jabłonowski.

KŁOSKI.

Kultura nowoczesna rozwinęła się jak kwiat barwny i pełen woni, ale wśród listków tego kwiatu wylęgają się coraz częściej stada drobnych, dokuczliwych muszek, brzęczących nam nieustannie do ucha, że z najbujniejszym rozkwitem cywilizacyi idzie w parze niepojęte zdziczenie obyczajów, a poświęcenie, altruizm, wysokie poczucie moralne — spotykają się co chwila z drapieżnymi wybuchami egoizmu lub z zupełnym niemal zanikiem t. zw. zmysłu etycznego. Gdy do tego dodamy różne nieusprawiedliwione pretensye naszych półi ćwierć-wielkości, ich wygórowaną ambicyę, zdenerwowanie wreszcie, którem się tłomaczyć lubimy, to smutnemi, gorszącemi, godnemi napiętnowania, a jednak — niezupełnie niezrozumiałemi wydadzą nam się zajścia w rodzaju skandalicznego przerwania obrad warszawskiej sekcyi chemicznej przez pp. Puciatę, Gromkę, Pomińskiego i ich adherentów, albo nawet jedyna w swoim rodzaju próba argumentacyi pięściowej, podjęta świeżo na politechnice lwowskiej przez p. Kulczyckiego podczas dyskusyi *naukowej* z prof. Lutosławskim. Cóż dopiero mówić o lilipucim zamachu pewnego poety, który, jak zapewnia *Kuryer Poranny*, usiłował, przy pomocy nieszkodliwych skądinąd pogróżek, wymódz na sprawozdawcy teatralnym tego pisma przychylną wzmiankę dla osoby, posiadającej chwilowo płomienne serce nowoczesnego trubadura? Ten chyba — działał stanowczo pod wpływem wyłączającego winę „afektu" i przynajmniej w oczach wybranej znajdzie niewątpliwie — usprawiedliwienie.

* * *

Trudno natomiast przypuścić, aby choć jeden uczciwy człowiek usprawiedliwił postępowanie niejakiego p. Hermana Poznańskiego, prezesa zarządu warszawskiego Banku dyskontowego, względem długoletnich pracowników tej instytucyi. Pan ten—czytamy w *Kuryerze Codziennym* — „zupełnie jawnie dobiera Żydów zamiejscowych na posady w Banku. Do dnia dzisiejszego z dawnego personelu wydalono 22 urzędników, czterem wymówiono już posady, a trzech jest zagrożonych." Energiczny pan prezes nie działa przytem naoślep, nie kieruje się wyłącznie platonicznemi sympatyami lub antypatyami rasowemi. O nie, interes przedsiebiorstwa stoi u niego zawsze na pierwszym planie, o jego „dobro" dba on przedewszystkiem. On potrzebuje wiedzieć, że każdy urzędnik Banku, po 25 latach służby, dostaje na mocy ustawy gratyfikacyę w sumie rocznej pensyi, więc też usuwa głównie pracowników, stojących najbliżej fatalnego ćwierćwiecza. Sądzimy, że należałoby opatentować czemprędzej ten nowy wynalazek w systemie oszczędnościowym, jak również odpowiedź pana prezesa, który na prośbę o wyjaśnienie przyczyn dymisyi odpowiedział najspokojniej pewnemu urzędnikowi, wydalonemu po 23 i pół latach służby, że on, prezes, nie zwykł się tłomaczyć ze swych czynności. Naturalnie! Można się narażać na złorzeczenia i zniewagi ze strony pozbawionych chleba i doprowadzonych do rozpaczy pracowników, byle stworzyć kilka posad nowych dla współplemieńców, byle zatrzymać parę tysięcy rubli dla panów akcyonaryuszów, którzy te zasługi—czynne i bierne — potrafią niewątpliwie wynagrodzić... Tu przynajmniej panu prezesowi nie zarzuci nikt — braku konsekwencyi.

* * *

Czy jednak można nazwać konsekwentnem postępowania tych organów prasy, które na jednej kolumnie zachęcają gorąco czytelników do kupowania ołówków i guzików wyłącznie krajowego wyrobu, unikania nawet wykałaczek i szpilek niemieckich, a na drugiej, często nawet na tej samej, nawołują z zapałem do uczęszczania na koncerty „naszej wzorowej kapeli filharmonijnej," nie mając słowa nagany dla dyrekcyi, powierzającej na całe lato pałeczkę kapelmistrzowską rodowitemu Niemcowi? U nas tak zwykle—w jednem oku pioruny jowiszowego gniewu, a w drugiem uśmiech serdeczny, jedna ręka groźnie zwarta w kułak, druga wyciągnięta uprzejmie. I zawsze musimy znaleźć jakiś Zoppot wśród pruskich miejsc kąpielowych i jakiegoś „sympatycznego" wiedeńczyka wśród dyrektorów orkiestr niemieckich.

Nie myślę przeczyć, że p. Hellmesberger może być jednym z najzdolniejszych kapelmistrzów współczesnych; dowiedzia-

łem się — naturalnie z *Kuryera Warszawskiego* — że był kierownikiem „słynnego“ kwartetu, objeżdżającego w swoim czasie Europę, a obecnie zajmuje różne wysokie godności w operze wiedeńskiej, w kapeli dworskiej itd., itd. A jednak trudno mi pojąć logikę, gotową skakać do oczu z powodu grosza, danego niepotrzebnie cudzoziemcowi, a rzucającą mu bez wahania tysiące. I gotów jestem powtórzyć za humorystą z *Wieku*: cóż jest warta wasza korporacya muzyczna, jeżeli w całem mieście nie można znaleść specyalisty do prowadzenia orkiestry w Dolinie Szwajcarskiej? Nie można znaleźć? Lecz któżby go szukał wśród swoich? Do machania laseczką dyrektorską mają przecież wrodzony i wyłączny talent—cudzoziemcy.

* *

Zabłysnął wonny maj, odezwały się—słyszane naprzód przez poetów, zapewne jeszcze napół ochrypłe z zimna głosy słowicze, i — po paromiesięcznych rozprawach prasy o konieczności zniesienia totalizatora — dobroczyńca ten rozwinął znów w całej pełni swą pożyteczną działalność na przystrojonem flagami polu wyścigowem. Aliści na samym wstępie spotkał go zarzut surowy. Niektóre organy prasy uderzyły na trwogę, zwiastując światu, że w roku bieżącym pole wyścigów konnych odwiedzane bywa coraz częściej przez licznych uczniów klas wyższych, biorących gorący udział w grze w totalizatora. Alarmiści zdają się przypuszczać, że najskuteczniejszym środkiem przeciw temu niepożądanemu objawowi byłoby wydanie przez Towarzystwo wyścigów bezpłatnego biletu wejścia dla jednego z nauczycieli, na którym leżałby obowiązek rozciągnięcia dozoru nad młodzieżą szkolną, zebraną na wyścigach, lub nawet niedopuszczania jej na nie.

Zapewne i to zrobić można, chociaż — skutek co najmniej wątpliwy; z drugiej zaś strony stajemy tu znów wobec dziwnego, a — niestety — nierzadkiego u nas objawu dwulicowości. Można zabronić uczniom uczęszczania na wyścigi, ale jak im wytłomaczyć, że gra w totalizatora jest czemś karygodnem i niepożądanem, gdy tej przyjemnej rozrywce oddaje się namiętnie całe ich otoczenie, gdy starsi bracia, wujowie, stryjowie, ba, ojciec nawet i zaręczona z panem Karolem siostrzyczka mówią o niej z zachwytem, a zawsze modnie ubrany konkurent przyniósł nawet ostatnim razem z wyścigów i pokazywał z tryumfem zdobytą na nich w tak łatwy i przyjemny sposób nowiutką dwudziestopięciorublówkę.

Walka z objawami złego bez radykalnego usunięcia jego przyczyn będzie zawsze, jak się ktoś obrazowo wyraził — czemś w rodzaju zawracania kijem fal Wisły. My wydamy chętnie nawet dwa bilety bezpłatne kontroli, a jednocześnie dla zwiększenia dochodów totalizatora, będziemy stale, z pogwałceniem przepisów, urządzali wyścigi w niedziele i święta, choć panowie, stojący na czele instytucyi, obraziliby się śmiertelnie, gdyby im ktoś zarzucił — brak pobożności. A jednak na wyścigach oficerskich totalizator został już zniesiony, i tylko nasz słynny *Jockey-club* osuszać będzie w dalszym ciągu kieszenie naiwnych i wpływać dodatnio na wzrost wśród ludku warszawskiego szlachetnego zamiłowania do hazardu. Ha, w braku innych i to zasługa niemała... *Święcic.*

NA MARGINESIE.

Koleją z Warszawy do New-Yorku. *St. P. Wiedomosti* zamieściły wzmiankę, iż w początkach lutego dotarła do Jakucka wyprawa pod przewodnictwem Anglika Devinda. Wyprawa ma na celu zbadanie terenu, oraz wytknięcie najdogodniejszego kierunku dla przeprowadzenia w przyszłości odnogi kolejowej od głównej linii drogi żelaznej Syberyjskiej przez Jakuck, Kołymsk do cieśniny Berynga, przez którą ma być przerzucony most; i w ten sposób koleje azyatyckie zostaną połączone z kolejami amerykańskiemi. Minister komunikacyj, książę Chiłkow, miał się wyrazić przychylnie dla tego przedsięwzięcia, które kapitaliści angielscy i amerykańscy podejmują na własne ryzyko, z moralnem jedynie poparciem rządu rosyjskiego.

O takiej kolei jeszcze w 1881 roku mówił admirał Melville w czasie bytności swej nad Leną. Główną trudność przedstawia budowa mostu przez cieśninę morską, mającą 60 wiorst szerokości. Wprawdzie pośród niej leży wysepka Diomeda (właściwie dwie skały), lecz płyną tu silne prądy morskie, wieją częste i gwałtowne wiatry, morze wogóle bywa przez większą część roku zasiane wielkimi odłamami kier i pól lodowych. Na szczęście, wielkich, wysokich gór lodowych, tak licznych w okolicach Grendlandyi, które uniemożliwiłyby nawet most wiszący, niema wcale w tej części Oceanu Lodowatego. Kolej Syberyjska, o której 20 lat temu adm. Melville mówił jak o marzeniu dalekiem, już zbudowana, należy przeto przypuszczać, że Amerykanie na spełnienie swego projektu nie długo każą czekać, a podróżnik wsiadłszy do wagonu w Warszawie, będzie mógł wysiąść po 20—25 dniach podróży w New-Yorku. Nie jest to wcale żart. Już obecnie można z Warszawy dojechać koleją... do Pekinu.

O prawdę.

W sprawie kultury arabskiej.

W numerze 18 *Prawdy* znajduję notatkę naukową, dotyczącą wywodów Letourneau'a o „Psychologii rasy semickej.“ Autor wymienionej książki jest bezwarunkowo poważnym uczonym. Ale, jak ogół uczonych francuskich, lubuje się w lekkomyślnych paradoksach. Takim paradoksem jest to, co wyrzekł o Arabach. O Żydów sprzeczać się nie mam chęci. Tu pozostawiam spór innym, których bezstronność nikomu nie wyda się podejrzaną. Zresztą od sporu w tym względzie uwolnił mnie sam Letourneau. Odmówiwszy Żydom zdolności twórczych, on sam, gdy chodzi mu o poniżenie umysłowości arabskiej wykazuje, że „uczeni Arabowie pochodzili od obcokrajowców, *Syryjczyków*, Greków i... *Żydów*!“ Konsekwencya, jak na uczonego, poniżającego umysłowość *całej* rasy semickiej, przyznać należy — niezbyt wielka. Więc mogę mówić tylko o Arabach.

Pogląd Letourneau'a na kulturę arabską nie jest nawet błyskotliwym paradoksem. Jest to powrót do bardzo starego, utartego niegdyś mniemania, jakoby Europa nie zawdzięczała nic Arabom. To właśnie fałszywe mniemanie, wynikające z chęci ukrycia olbrzymiego kulturalnego wpływu Arabów na rasę aryjską, zwalczone zostało przez bezstronnych przedstawicieli nauki nowożytnej.

Niechlujna i ciemna Hiszpania, dostawszy się pod panowanie Arabów, ujrzała po raz pierwszy w osobach swych władców opiekunów nauk i sztuk, szerzycieli wygód, wdzięku, wykwintu i kultury. Kalifowie arabscy stanowili pod tym względem rażącą sprzeczność z ogółem monarchów europejskich. Korduba wybija się z nędzy na szczyt niebywałej pomyślności, ma 200,000 domów, milion mieszkańców, wybrukowane ulice, wyborne oświetlenie, gdy—jak stwierdza Draper, ze zdumieniem roztaczający obraz kultury arabskiej w dziele o „Rozwoju umysłowym Europy“ — w siedemset lat potem w całym Londynie nie było jeszcze ani jednej latarni publicznej, a w Paryżu, o całe wieki później, jeżeli ktoś przestąpił próg swój w dzień dżysty, grzązł w błocie po kostki“! Nie będziemy zatrzymywali się nad uroczymi ogrodami i wspaniałymi pałacami kalifów, nad ich zwyczajami towarzyskimi. (Nauczyli oni Europejczyków, którzy wówczas nosili dopóty ubranie, dopóki nie zmieniło się „w obrzydliwą masę robactwa, smrodu i łachmanów,“ używania i częstego zmieniania spodniej części garderoby z płótna lub bawełny, „które dziś jeszcze jest znane u naszych dam pod nazwą arabską.“). Przypomnimy, że w epoce, gdy w Europie nie znano niemal bibliotek, gdy tylko Bizancyum mogło pochwalić się szczupłymi księgozbiorami mało czytanych rękopisów, sam katalog biblioteki kalifa Alkahema obejmował 40 tomów; przy bibliotece na wzór muzeum Aleksandryjskiego, urządzono szeregi sal dla przepisywaczy rękopisów. Miłosna pieśń Prowancyi i Langwedocyi, pełna uroku grzeczność towarzyska Avignonu — utorowały sobie drogę z Granady i Korduby. Nadobna literatura włoska i sycylijska wytryska z nieprawowiernych źródeł poezyi Arabów, którzy bodaj pierwsi wprowadzili rym w utworach poetyckich. W wieku X wszyscy spragnieni wiedzy i przyjemności wytwornych dążą do Hiszpanii, a Gerbert, zdobywający naukę w nieprawowiernym uniwersytecie kordubskim, zostaje powołany na stolicę papieską w Rzymie.

Wbrew twierdzeniu Letourneau'a o rzekomo wyjątkowym fanatyzmie Arabów, musimy podziwiać uderzającą ich wolnomyślność, słysząc, że znany powszechnie Harun al Raszyd powierzył dozór szkół chrześcianinowi—Janowi Masué. Gdzie było pragnienie wiedzy, a gdzie tkwił uparty fanatyzm, wskazuje fakt, że kalif Al-Majmon zwrócił się do cesarza bizantyńskiego Teofila z prośbą o zezwolenie matematykowi Leonowi na podróż do Bagdadu, w celu podzielenia się wiedzą swoją z Arabami, wzamian za co proponował 100 funtów złota i sojusz wieczysty. Bizantyjczyk jednak odmówił „barbarzyńcy,“ wzgardziwszy jego prośbą „o przyjaźń pomimo różnic wiary.“

Nie możemy pominąć pierwszych encyklopedyj, układanych przez Arabów, słownika, złożonego z 60 tomów, w którym każdy wyraz objaśniony był przez cytaty ze sławnych pisarzy arabskich, słowników: łacińskiego, greckiego i hebrajskiego, a nadewszystko „Słownika historycznego nauk“ przez Mohammeda Ibu Abdallaha z Granady. Ślady słownika arabskiego znajdziemy w mowie narodów europejskich, pomiędzy innemi w wyrazach na „al“ — alkohol, alchemia, algebra. Ostatnie dwie nazwy mówią same za siebie. Podobnież w farmakopei naszej spotykamy mnóstwo słów arabskich, np. syrop, eliksir. Już w VI wieku znajdujemy w języku arabskim olbrzymie dzieła ze wszystkich gałęzi nauk, poczynając od czystych, matematycznych, a kończąc na stosowanych praktycznych. Czy chodzi o filozofię, astronomię, czy o chirurgię i irrygacyę roli — wszędzie natrafiamy na nazwiska uczonych arabskich. Twórczość ich oddziałała zapładniająco na umysłowość pogrążonych naówczas w barbarzyństwie narodów europejskich, które przyjąwszy dziedzictwo, wyrzekły się pamięci o spadkodawcach. Jeżeli z uwagi na źródła najdalsze zechcemy wiązać kulturę arabską z grecką i z tej racyi obniżać zdolności twórcze Semitów arabskich, to słuszność nakaże nam związać oświatę grecką z jej naturalnem źródłem — z cywilizacyą egipską, w której nietrudno odnaleźć pierwiastki semickie. Czyż wobec tego odmówimy zdolności twórczych Aryom greckim?

Obraz oświaty arabskiej, nakreślony przez nas rysami pobieżnymi, mówi o twórczości we wszystkich dziedzinach ducha i życia, i zaiste, dziwić się można, że Letourneau kładzie taki wielki nacisk na naśladownictwo przez Arabów ludów podbitych, gdy zwyciężona Hiszpania po podboju arabskim wychodzi z mroków, a po wypędzeniu Arabów nanowo w mrok zapada. Wyrasta wspaniały pomnik architektury — Alhambra. Arabowie wznoszą pierwsze obserwatorya w Europie. Po wygnaniu Maurów, Hiszpan, nie wiedząc, co począć z wieżą astronomiczną w Sewilli, zmienia ją na dzwonnicę. Rzym i Konstantynopol, najoświeceńsze miasta Europy, uczą, że ziemia jest pła-

ską, gdy Saraceu w szkole kordubskiej wykłada geografię na globusie. Niewątpliwie zapożyczyli Arabowie system dziesiętny od Indusów, ale że rozwinęli arytmetykę, nie dziw, iż my dla odznaczenia pojęcia cyfry wzięliśmy od nich nawet nazwę samą: *tsaphara* czyli *ciphra*. Możemy algebrę wyprowadzać od Diofentesa (450 r. po Chr.), ale nie wolno zapomnieć, że została ona wprowadzona do Europy przez Arabów i rozwinęła się na dobre dopiero w dziełach pisarzy saraceńskich (Mohamed ben Muza), gdy stała się osobną gałęzią matematyki pod nazwą arabską: *Al dżebr wal mokabala* (uzupełnienie i porównanie). Arabom również zawdzięcza początek trygonometrya...

O cudownych wynikach zastosowania przez Arabów matematyki do ekonomii i fizyki za wiele wypadłoby mówić. Zaznaczymy tylko trafną próbę obliczenia przez Almaimona objętości ziemi metodą wymierzenia jednego stopnia na brzegu morza Czerwonego i niemal zupełnie ścisłe obrachowanie pochylenia ekliptyki... i pomyślmy, że w 800 lat później za podobnie zuchwałe „nowatorstwa" „oświeceni" papieże Europy skazali Giordana Bruno na śmierć przez spalenie...

Chyba dość tego dla wykazania, w jaki sposób *dziki fanatyzm Semitów stawiał myśli wolnej nieprzezwyciężone przeszkody*. Letourneau nie wie lub wiedzieć nie chce, że fanatyzm był wszędzie — niezależnie od właściwości ras, oraz, że twórcza myśl przyświecała w równej mierze rasie semickiej, jak aryjskiej, bo i twórczość i fanatyzm nie są cechami rasowemi, lecz właściwością—jednej ludzkości. Historya zaś, badając stopniowania rozwoju i upadku, uczy nas, w jakim momencie kwitły lub więdły kwiaty ducha, rodziły się lub gniły pożywne albo zatrute owoce na drzewie danego narodu.

Śmiesznem jest dzisiaj, gdy posiadamy długie szeregi dzieł, pisanych w języku arabskim, gdy wahadło, zawieszone ręką Araba w ulepszonym przez niego zegarze, przemierzyło już tyle czasu, kusić się w pseudo-naukowy sposób na określenie nikomu niewiadomego rodowodu uczonych arabskich. Nie wyczerpaliśmy przedmiotu nawet w punktach głównych, nie zaznaczyliśmy głębokich i ważnych odkryć Alhazera z XI wieku — w optyce, mechanice i fizyologii, przed któremi w zdumieniu staje znakomity fizyolog i fizyk XIX stulecia, Draper... Brak nam miejsca. Kończymy ogólnym poglądem uczonego amerykańskiego: „Arab wywarł na Europę wpływ umysłowy, jak to przyzna niedługo całe chrześciaństwo; jest to zapisane w niebie niezatartemi głoskami, jak obaczy każdy, kto czyta nazwy gwiazd na zwykłym globusie niebieskim."

Rzecz dziwna, że dla wyrażenia zwrotnego swego poglądu, różnego od tego, który w istocie przyjęła już nauka „chrześciańska," Letourneau obrał chwilę, gdy nowożytne badania uczonych francuskich i angielskich zaczynają podważać starą teoryę o dwóch *czystych* rasach, semickiej i aryjskiej, w jednej i w drugiej jednakowo upatrując owoc odwiecznego mieszania się dwóch zasadniczych typów człowieka: krótko—i długogłowego, bo oba te typy jednakowo spotykają się, zwłaszcza w Europie, tak samo śród tak zwanych przez nas Aryów, jak i wśród t. zw. Semitów. Ciekawe rzeczy, co jeszcze przyszłość powie o tym przyjętym przez nas obecnie uczonym podziale, na mocy którego dowodzi się często naukowo—potrzeby i konieczności nienawiści!

Leo Belmont.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Komunikat urzędowy o rozruchach w gub. Połtawskiej i Charkowskiej.

(Tel. Ag. Ros.).

W ostatnich czasach w gub. Połtawskiej i Charkowskiej wydarzyły się poważne zakłócenia porządku publicznego. Istota zaburzeń tak się przedstawia:

Około połowy marca r. b. w przyległającej do pow. Połtawskiego część pow. Konstantynogradzkiego, gub. Połtawskiej, w ekonomii obywatelskiej zaczęli zjawiać się tłumnie włościanie sąsiedni i powołując się na brak żywności, prosili o wydanie im bezpłatne zboża, paszy dla bydła, a jednocześnie w tejże miejscowości wzrosła znacznie liczba kradzieży zboża, kartofli i siana. Wkrótce od próśb włościanie przeszli do domagania się, któremu towarzyszyły często głosy: „Wszystko jedno, wkrótce wszystko będzie nasze," a następnie do gróźb, iż w razie odmowy wezmą wszystko przemocą. Wszystkie te zjawiska obserwowano względnie na niewielkim obszarze, w obrębie wielkich posiadłości w pobliżu wsi w pow. Konstantynogradzkim: Maksymówka, Warwarówka, Fedorówka i Lisiczje; przytem ta ostatnia, jak się okazuje, służyła za miejsce pobytu niektórych osób, z pośród zajmujących się propagandą występną. Wrzenie wśród ludności stale wzrastało i wreszcie w d. 18 marca (st. st.) wielki tłum włościan ze wsi Maksymówki i w części mieszkańców wsi sąsiednich przybył podwodami na jeden z folwarków majątku Jego Wysokości Księcia Meklemburg - Strelickiego „Karłówka," przy groźbach odebrał rządcy klucze od śpichrzów i wywiózł kilka tysięcy pudów kartofli. W ten sposób w pow. Połtawskim i Konstantynogradzkim rozpoczęły się jawne rozruchy, włościanie otwarcie całymi taborami, niekiedy do 300 i 400 wozów, napadali na majątki obywateli i bogatych kozaków, odbijali zamki u śpichrzów, szop i składów, uwozili zboże, paszę dla bydła, narzędzia rolnicze, a niekiedy uprowadzali bydło. Przytem w niektórych razach wśród tłumu rabusiów dawały się słyszeć okrzyki: „Bierzcie, powinniście zrobić, jak napisano w książce! To wszystko nasze!"

W dniu 30 marca gubernator połtawski, uznawszy za konieczne, dla przywrócenia spokoju, przedsięwziąć środki nadzwyczajne, udał się z trzema batalionami piechoty na miejsce zaburzeń i d. 31 przystąpił do ich stłumienia, idąc za śladami rabusiów. Zjawienie się wojska, wywołując konieczne wrażenie w tych wsiach, które ono zajmowało, nie mogło odrazu przywrócić porządku. W innych miejscowościach obu powiatów rabunek trwał dalej i w d. 31 marca, pomiędzy innemi w pow. Konstantynogradzkim zrabowano wielkie składy kupca Wolika, skąd zabrano około dwudziestu tysięcy pudów zboża. Następnie wrzenie zaczęło przybliżać się do Połtawy. W d. 1 kwietnia tłum włościan dokonał napadu na odległy o 10 wiorst od miasta młyn właściciela Trepkego, około wsi Kowalówki. Wysłane tam przez wicegubernatora połtawskiego dwie roty piechoty przybyły na miejsce już wówczas, gdy włościanie powracali po dokonaniu rabunku. Naczelnik ziemski, towarzyszący oddziałowi wojska, aresztował dwudziestu ludzi i rozpoczął badania. W tym czasie uzbrojony w drągi i widły tłum zaczął nacierać na oddział i na ostrzeżenie dowodzącego sztab-oficera, iż będzie zmuszony strzelać, odpowiedziano mu kamieniami i szyderstwem. Wówczas dano ognia do tłumu, skutkiem czego dwóch rabusiów padło na miejscu, z siedmiu zaś ranionych umarł jeden.

W d. 2 kwietnia zamieszki w pow. Konstantynogradzkim, dzięki ruchom wojska, wzmocnionego jeszcze przez cztery bataliony, wysłane z Połtawy, zaczęły przycichać, chociaż kilka wsi pod samą Połtawą jeszcze zrabowano.

D. 3 kwietnia wynikł nowy wybuch wrzenia w p. Konstantynogradzkim, który nie miał szczególnego znaczenia, poczem zaburzenia w g. Połtawskiej ostatecznie stłumiono. Ogółem w tej gubernii zrabowano 54 folwarki.

D. 31 marca wrzenie przedostało się do gub. Charkowskiej, ogarnąwszy w niej pow. Wałkowski i nieznaczną część pow. Bogoduchowskiego. Po trzydniowem szerzeniu się w gub. Połtawskiej przeniósłszy się do gub. Charkowskiej, niepokoje objawiły się tutaj w formie jeszcze bardziej wyuzdanej. Włościanie, nie ograniczając się już rabowaniem zboża, kartofli i siana, zabierali inwentarz, uprowadzali bydło, a niekiedy unosili sprzęty domowe, spustoszyli kilka folwarków, a dwa z nich spalili. (D. n.)

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Do ministeryum komunikacyj wniesiono projekt nadania praw służby państwowej wszystkim urzędnikom kolejowym.

— Małżonkowie Edward i Matylda Herbstowie w Łodzi, w celu uczczenia pamięci zmarłej córki, postanowili wybudować i utrzymywać własnym kosztem szpital dla dzieci. Koszt budowy i kapitału żelaznego obliczono na 200,000 rubli.

— Z Rzymu donoszą, że na posiedzeniu Izby prezes ministrów, Zanardelli, w odpowiedzi na interpelacyę deputowanego Santiniego, czy będzie przedstawione prawo, dotyczące ograniczenia działalności lekarskiej cudzoziemców, oświadczył, że rząd prawa takiego nie wniesie, gdyż uważa za jeden z największych powodów do chwały Włoch fakt, iż przyznały cudzoziemcom te same prawa obywatelskie, co Włochom.

— W niektórych powiatach Galicyi rozwinął się wśród ludności wiejskiej wielki ruch wychodźczy do Kanady.

— Polacy, osiedleni w Berlinie, zamierzyli zorganizować kolonie letnie dla dzieci biednych rodzin polskich. Mają one korzystać nietylko ze świeżego powietrza, lecz zarazem kształcić się wspólnie w języku ojczystym. W tym celu projektowane są na kolonie miejscowości w W. Ks. Poznańskiem.

— Namiestnictwo Galicyi zatwierdziło ustawę klubu słowiańskiego.

— Czeska Akademia umiejętności zamianowała L. Tołstoja swym członkiem honorowym, lecz protektor jej, arcyksiążę Fr. Ferdynand, nominacyę odrzucił. *Czas* czeski, donosząc o tem pogwałceniu praw Akademii, domaga się restytucyi.

— Władza wojskowa w Poznaniu niezbyt dawno zabroniła żołnierzom kupowania towarów u kupców polskich. Obecnie wydała znów rozporządzenie, zabraniające im uczęszczania do restauracyj polskich.

Konieczne dopełnienie. Redakcya *Kuryera Warszawskiego*, zapytana przez jednego z czytelników o książki do hodowli kwiatów, wyliczyła mu w odpowiedzi wszystkie prace pomologa... p. Jankowskiego, pominąwszy zupełnie wydane przez nas dziełko specyalisty Bettena, pomimo że egzemplarz tej pracy w swoim czasie otrzymała.

Sprostowanie. W sprawozdaniu naszem ze sztuki, zamieszczonem w nr. 19, zaszła pomyłka: zamiast wyrazu akwaforty, należało użyć *fototypie* z rysunków Rembrandta.

Szkoły. Uczniom rządowych szkół rolniczych, udającym się na wycieczki naukowe, przyznano prawo bezpłatnego przejazdu kolejami na odległość 50 wiorst, następnie na odległości do 300 wiorst korzystać mają z taryfy ulgowej.

— Na wydziale fizyczno-matematycznym uniwersytetu charkowskiego wakuje katedra zoologii, anatomii porównawczej i fizyologii. Ubiegać się o nią do d. 20 lipca r. b. mogą osoby, posiadające stopień doktora lub magistra zoologii.

— Ministeryum oświaty poleciło kuratorom okręgów naukowych opracować program dozoru nad uczniami po za obrębem zakładów naukowych miejskich.

— Departament oświaty odpowiedział przecząco na pytanie jednego z kuratorów, czy uczniowie kl. II-ej szkoły realnej mogą przechodzić bez egzaminów do takiejże klasy gimnazyum.

— Na posiedzeniu komitetu Izby lekarskiej w Wiedniu postanowiono rozpowszechnić między maturzystami gimnazyalnymi memoryał komitetu wykonawczego austryackich studentów medycyny, odradzający poświęcania się studyom medycznym ze względu na smutne warunki zarobkowe śród lekarzy tamtejszych.

— Polecono wszystkim szkołom technicznym, aby uczniom, wychodzącym z kl. I—IV szkół typu normalnego i kl. V—VIII mieszanego, wydawały osobne świadectwa, dające prawo wstępowania do wojska jako ochotnicy 2-go rzędu.

Zdrowie publiczne. Warsz. rada miejska dobr. publicznej, po porozumieniu się z inspekcyą szpitali, orzekła, iż pożądane byłoby utworzenie w Warszawie stacyi miejskiej pasteurowskiej, z warunkiem, ażeby utrzymywała się z funduszów własnych i była zupełnie samodzielna. Jako najodpowiedniejsze miejsce do urządzenia jej wskazano terytoryum szpitala na Pradze.

— Staraniem Towarzystwa dobroczynności otwartą będzie w Ciechocinku kuchnia dla niezamożnych kuracyuszów.

Wiadomości naukowe. Panowie Dunin, Kochanowski i S. Posner zamierzają przystąpić do zebrania i wydania prac naukowych B. Hubego, S. Łaguny i A. Okolskiego. Wiadomość ta jest bardzo pocieszająca, stanowi tem milszą niespodziankę, że wkrótce po śmierci Okolskiego odzywały się śród prawników opinie, odmawiające jego dziełom wartości poważnej.

— Warsz. Tow. farmaceutyczne zawiadamia, że z zapisu imienia Zofii z Białosukniów Kłobuszewskiej wakuje nagroda konkursowa w ilości rb. 50 za pracę najlepszą, napisaną po polsku, na temat dowolny z dziedziny farmacyi lub nauk pokrewnych, objętości arkusza druku. Termin nadsyłania prac upływa z d. 1 października r. b.

— D. 17 b. m. z powodu uroczystości jubileuszu politechniki lwowskiej otwarta będzie wystawa wynalazków.

Sprawy ekonomiczne. Wystawa koni w Warszawie odbędzie się d. 12 czerwca r. b.

— Bank państwa zwrócił się do swych oddziałów, a te znów do wybitniejszych finansistów i przemysłow-

ców z prośbą o odpowiedź na pytania: Czy organizacya kredytu taniego jest potrzebną zarówno dla rzemiosł i przemysłu włościańskiego, jak i dla robotników? Jaka organizacya kredytu taniego byłaby najodpowiedniejszą? Kto ma się podjąć tej organizacyi: Bank państwa, czy też miejscowe instytucye lub osoby prywatne i które mianowicie? Czy zawsze można znaleźć na miejscu osoby zdolne do kierowania instytucyami kredytowemi i czy nie dałoby się uprościć zarządu tych instytucyj? Czy teraźniejszy nadzór nad towarzystwami kredytowemi jest dostateczny, względnie, czy należałoby go i jak zmienić?

— Generalny konsul rosyjski w Berlinie zwrócił się do gubernatora kaliskiego z prośbą o zawiadomienie ludności miejscowej, że według zebranych przezeń danych, w Prusach w roku bieżącym zapotrzebowanie na robotnika napływowego będzie bardzo nieznaczne i że udający się za granicę bez legitymacyj paszportowych i bez uprzedniego zabezpieczenia się kontraktem z ziemianami pruskimi, roboty nie znajdą i zmuszeni będą do powrotu, straciwszy napróżno czas i pieniądze.

Katastrofy. Na wyspie Martynice (988 mil kw., około 200 tysięcy mieszk.), z grupy Małych Antylli, wybuch wulkanu Mont-Pelée zniszczył zupełnie miasto St. Pierre i północną część wyspy zamienił w pustynię. Cała ludność miasta, wynosząca przed wybuchem 40,000 osób, zginęła zasypana popiołem i spalona lawą wciąż ziejącego wulkanu. Katastrofa zdarzyła się d. 8 b. m. o godzinie 8 rano, przy temperaturze niezmiernie wysokiej i przybrała odrazu tak olbrzymie rozmiary, że nawet okręty, stojące w porcie na kotwicach, nie zdołały ujść przed niszczącym żywiołem i zostały spalone. Z dwudziestu okrętów jeden tylko krzyżowiec angielski „Suchet" uszedł cało i uratował kilkadziesiąt osób. Podczas wybuchu fale morskie w pobliżu St. Pierre podniosły się nagle tak wysoko, że parowiec angielski „Roraima" został wyrzucony na wybrzeże i rozbity; załoga zginęła. Przewodniki telegraficzne między wyspami zerwane. Wybuchy trwają w dalszym ciągu, deszcz popiołu nie ustaje. Przerażający widok przedstawił się ludziom odważnym, którzy nie bacząc na niebezpieczeństwo, udali się do miejsca katastrofy, aby nieść pomoc nieszczęśliwym: nigdzie nie znaleziono człowieka żywego, wszędzie stosy trupów i obraz całkowitego zniszczenia. Na miejscu, gdzie stał kościół, leży góra zwęglonych zwłok ludzkich; ofiary katastrofy przed spaleniem podusiły się w dymie i pyle. Roboty ratunkowe uniemożliwia ciągłe opadanie popiołu i wylew rzek, które wystąpiły ze swych łożysk. — Podobny los zagroził wyspie Św. Wincentego, na której wulkan Soufrière wyrzuca gorący piasek, popiół i lawę. Spalone, dymiące się obszary pól widać na 6 mil dokoła wulkanu. Źródła wyschły, jeziora parują, nad całym archipelagiem unoszą się ciemne tumany popiołu, które zasłaniają widnokrąg i spadają na ziemię. Żaden parowiec nie może już zbliżyć się do północnego wybrzeża wyspy.

— Na początku bieżącego miesiąca pożary w miastach prowincyonalnych poczyniły ogromne spustoszenia. W Bobrujsku (gub. Mińska) spaliło się około tysiąca zabudowań, kilkaset sklepów, instytucye rządowe i społeczne, szpital itp. W Działoszycach (g. Kielecka) zgorzało 129 domów. Miasteczko Onikszty (gub. Kowieńska) padło również pastwą płomieni, z 300 domów ocalało zaledwie 40. Nie obeszło się przytem bez ofiar w ludziach.

— Około stacyi Moyenneville, w departamencie Oise, pociąg, wiozący pielgrzymów z Amiens do Lourdes, wykoleił się i spadł w przepaść; kilkanaście osób poniosło śmierć na miejscu, wielka ilość ciężko ranionych.

— Z Kairu donoszą, że w miasteczku Mitgamar, w delcie Nilu, szalał przez dwa dni pożar, który zniszczył około tysiąca domów mieszkalnych. Kilkadziesiąt osób zginęło w płomieniach.

Wzory stylu. Co się robi ze stylem w niektórych pismach naszych, niech zaświadczą próby, wyjęte z numeru 129 pewnej gazety:

„Na rogu *ulic* (w Płocku) w wielu miejscach, gdzie brak było napisów z nazwiskami *ulic*, przymocowano nowe tablice z nazwiskami *ulic*."

„Brak *drzewa* w Zakopanem daje się bardzo dotkliwie uczuwać. Zarządy dóbr w Kuźnicach i Poroninie nie posiadają już *drzewa* opałowego prawie wcale. Można jeszcze tylko przygodnie kupić od wieśniaków *drzewa* za drogie pieniądze. *Drzewo* twarde, bukowe itd."

„W nieobecności *wybranego* przed dwoma laty prezesa *wyborów* przewodniczył *wybrany* na zebraniu *wyborczem* 93 głosami p. Jan Pruski."

Styl listu kucharek może być jeszcze gorszym, ale chyba nie może być bardziej zaniedbanym.

Zmarli. Cypryan Izdebski, b. profesor b. Szkoły Głównej; w Niezabitowie, gub. Lubelskiej. Żył lat 82, w ostatnich 17 dotknięty ślepotą.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Мая 1902 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.